BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXVIII.

POEZJE

WŁADYSŁAWA BEŁZY.

WYDANIE ZUPEŁNE.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

—

1874.

Patronie pieśni polskiej! Janie Czarnoleski,
Jeżeli lutnię twoją otrzymałem w darze,
Słabo grałem, lecz grałem jak mi serce każe!

Zgon Acerna.

SPIS RZECZY.

Strona

TRZY MOGIŁY.

I.

„Powstanie z kości naszych — mściciel."

Pod Krakowem trzy mogiły,
  Niby trzy strażnice;
Dwóch wojaków przytuliły,
  A trzecią dziewicę.

Pod Krakowem trzy kurhany,
  Niby trzy przedmurza,
Patrzą na kraj ukochany,
  Skąd mu grozi burza.

Pod mogiłą Krakusową,
  Płyną Wisły fale —
Nad nią dąb omszałą głową,
  Potrząsa wspaniale.

Ej, ty naszych siół patronie,
  O czem dumasz dębie?
Czemu patrzysz w Wisły tonie,
  Przezierasz jej głębie?

Ni tam Boża dłoń rzuciła,
  Korali na fale —
Chyba naszą krew zmieniła,
  W czerwone korale.

Ni tam pereł blask nie świeci,
  Co by tak nęciły:
Łzy to chyba polskich dzieci,
  W perły się zmieniły.

O! już wiem ja, dębie stary,
  O czem dumać tobie;
Rozpostarłeś twe konary,
  Na rycerza grobie —

Z mężnej piersi bohatera,
  Czerpiesz twoje soki:
Toż i skroń się twa wydziera,
  Śmiało pod obłoki.

I poglądasz w koło dumnie,
  Na ten świat zamarły:
Bohatery leżą w trumnie,
  A szaleją karły! —

Zdasz się jeno czekaj chwili,
  Która nie daleko:
Rychło z mogił się odchyli,
  Zapleśniałe wieko?

Rychło w turzy róg zagrają,
  Rycerze zaklęci,
I twym liściem skroń umają,
  Ku wiecznej pamięci?

Wskrzesić zmarłych siwy dębie,
  Próżna to pokusa:
Spojrz! jak smutno patrzy w głębie,
  Mogiła Krakusa.

II.

Pod Krakowem trzy mogiły,
Niby trzy strażnice:
Dwóch wojaków przytuliły,
A trzecią dziewicę.

Grób dziewicy, lud własnemi,
Usypał rękami:
„Wanda leży w naszej ziemi!“
Śpiewając ze łzami.

Skoro tylko z pierwszą wiosną
Słonko się wychyli:
Na mogile kwiaty rosną,
I ptaszyna kwili.

Kwiaty wieńczą ją do koła,
Niby ślubnym wiankiem,
A ptaszyna ciągle woła,
Jakby za kochankiem.

Próżno kwiaty wy rośniecie,
Dla cudnej dziewoi —
Nigdy ona was nie wplecie,
Już do kosy swojej.

Próżno ptaszku z zorzy błyskiem,
Brzmi piosenka twoja:
Przed kochanka to uściskiem,
Uciekła dziewoja!

Bo on hardy, kraj chciał zgubić,
  Mieczem i płomieniem;
Bo on Polskę chciał zaślubić
  Żelaznym pierścieniem.

Chociaż głosił wciąż najwierniéj,
  Miłosne zapały —
Zbrojne tłumy jego czerni
  Po kraju szalały!

Oj, nie z takim to orszakiem,
  Idzie się na gody —
I nie droga takim szlakiem
  Do królewnej młodej!

I nie takie to ofiary,
  Lubej się przynosi!
I nie z takiej krwawej czary,
  Wiwaty się wznosi!

Purpurowym łuny pasem,
  Niebo się pokryło —
A lud płakał już tymczasem,
  Nad Wandy mogiłą.

Bo nim horda po zagonie
  Rycząc, przeszła gniewna:
Już w srebrzyste Wisły tonie,
  Skryła się Królewna! —

I zapłakał — łzy krwawemi
  Naród, u mogiły:
„Wanda leży w naszej ziemi!“
  Echa mu wtórzyły!

III.

Pod Krakowem trzy kurchany,
  Niby trzy przedmurza,
Patrzą na kraj ukochany,
  Czy nie grozi burza.

Oj! powiała burza wściekła,
  Z dalekiego wschodu,
I całunem przyoblekła,
  Krwawą pierś narodu!

Oj! zawodzą w płacz serdeczny
  Nieszczęśliwe matki,
Do pościołki wiodąc wiecznej,
  Ukochane dziatki —

W niebo okrzyk zgrozy bije,
  Załośnie, grobowo —
Czyje ręce pomszczą, czyje,
  Krzywdę narodową?

I posłyszał to z ukrycia,
  Mąż z ducha i kości:
Co nieszczędził nigdy życia,
  Za sprawę wolności!

Co za bisior miał siermięgę,
  A burkę za łóżko;
Miłość ludu za potęgę —
  A zwał się Kościuszko!

Od okrzyków, od radości,
  Znowu grzmią niebiosy,
Gromadzą się ludzie prości,
  Wyostrzają kosy —

Oj! niech wróg się nie poważy,
  Kusić o zwycięstwo,
Gdzie narodu duch na straży,
  Tam siła i męstwo.

Choć niewola niby ołów
  Ciężka, na pierś lęże,
Wstają iskry z pod popiołów,
  A z narodu — męże.

Zbrojne w kosy i w kłonnice,
  Poszły nasze chwaty,
Poszły het, pod Racławice,
  Zdobywać armaty.

I zdobyli i przywlekli,
  Armat jedenaście,
„A wrogowie niby wściekli,
  Pierzchli przez przepaście!“ *)

— Hej! gdy nam tak poszło z chwałą,
  Kościuszko zawoła:
Trzeba przelać jedno działo,
  Na dzwon do kościoła.

Niechaj jego głos spiżowy,
  Co dnia płynie z wieży,
I o chwale narodowej,
  Gada do młodzieży. —

---

*) Ze starej piosenki.

Potem rzuci okiem czule,
  Na Wawelu mury:
— Tam gdzie nasze leżą króle,
  Stanie moździerz wtóry!

Gdy na dolę naszą krwawą,
  Padł ucisk tej ziemi,
Narodową chociaż sławą,
  Podzielmy się z niemi!

Trzecie działo niechaj stanie,
  Na mojej mogile,
By żołnierskie pożegnanie,
  Oddać mi za chwilę — —

Skąd te wodzu myśli czarne,
  Skąd ten smutek, powiedz?
Czyś ty wieszczym przeczuł duchem,
  Klęskę Maciejowic?

Nie wiem, z jakich przeznaczenie,
  Wódz tam czytał znaków;
Czy w snach zoczył tę mogiłę,
  Którą wzniósł mu Kraków!

Ale widzę, jak nad Polską,
  Duch jego jaśnieje,
Trwogę budząc w sercach katów,
  W ofiarach — nadzieję.

Morownica 1871
w domu posła Wł. Niegolewskiego.

Potem zmarł [illegible] ciała
Ś. Wojciecha cnoty,
— Tym gdzie [illegible] [illegible],
Nastała [illegible] [illegible]!

Gdy na [illegible] naszą [illegible],
Padł [illegible] tej [illegible],
[illegible] [illegible],
Pojednany [illegible] z niemi!

Trzeba [illegible] [illegible],
Na mojej [illegible],
By [illegible] [illegible],
Ufać mi na [illegible] —

Skąd te [illegible] [illegible],
Skąd [illegible], [illegible]?
Czyż ty [illegible] [illegible] [illegible],
Księże Maciejowski?

Nie wiem, a jednak [illegible],
Widzę [illegible] [illegible];
Gdy w [illegible] [illegible],
Który [illegible] [illegible]!

Ale wiedzę, [illegible] [illegible],
Duch [illegible] [illegible],
Tworzy [illegible] [illegible] [illegible],
W [illegible] [illegible].

Maciejowice 1879
[illegible] przez Wł. [illegible].

ZAMEK GROJECKI.

(LEGENDA.)

W starych czasach to powieści!
Stara dzielność się ukrywa.

Fr. Morawski.

Czy to tak niebo gromami sieje?
Czy to tak wściekła burza szaleje?
Ani to gromy, ani to burza,
Czarnym całunem niebo zachmurza:
To szwedzkie działa sinemi dymy,
W okół okryły nasz kraj rodzimy!
I z paszcz spiżowych ziejąc pożogą,
Gromem i burzą ryczą złowrogą!

To szwedzki żołdak zbrojną prawicą,
Bezkarnie włada naszą ziemicą!
I jak przed wieki ony bicz Boski,
Rabuje dwory i pali wioski. —
I niezadługo nasza kraina,
Jako ogromna stała ruina!
Dymiące zgliszcza, gruzy, mogiły,
Śmiertelnym wieńcem w krąg ją owiły —
I tylko miesiąc z za chmury czarnej,
Przyświecał blado — ziemi smętarnej!

I.

W obozie szwedzkim huczno i gwarno,
Do ciepłych ognisk zbrojni się garną;
Krążą kielichy z ręki do ręki,
W ustach hulaszcze kipią piosenki;
A ta wesołość co na ich twarzy,
Jakimś się ogniem piekielnym żarzy,
Dziwnie odbija od łuny w dali,
Co krwawą smugą niebiosa pali! —

Huczno i gwarno — bo pan wódz szwedzki,
Niedawno złupił dworzec szlachecki,
Zrabował kościół, pomęczył mnichy! —
A więc kościelne srebra, kielichy,
I dworskie perły, drogie kanaki,
Między w pół dzikie poszły żołdaki!

Huczno i gwarno — śmiech do okoła!
Wyrzuca kości tłuszcza wesoła —
Ryczą przekleństwa, kipi gra wściekła!
A tam w oddali — wśród tego piekła.
Słychać jęk rzewny, stłumiony, głuchy:
To polski jeniec skuty w łańcuchy!

Płoną ogniska! w kotłach wre strawa!
Czasem z pod kotła jak wstęga krwawa,
Płomień wężykiem na zewnątrz błyśnie!
I kąsa kocioł — co go tak ciśnie,

Że nawet nie da jasnym polotem,
Ku niebu światłem zabłysnąć złotem —
Więc sypie iskry, skarży się sykiem!
Chce się podstępem wyrwać zdradzieckim!
Ale daremnie! — bo niewolnikiem
Nawet i płomień w obozie szwedzkim!

II.

W namiocie wodza wojskowa rada,
Dalszych zaborów plany układa.
Cisza głęboka, nieledwie muchy
Maleńkiej, słychać brzęk skrzydeł głuchy.

W krześle rzeźbionem w tarczę herbową,
Nad kartą kraju z opartą głową,
Siedzi wódz szwedzki — i zadumany,
Dalszych zaborów zakreśla plany.
Utonął w myślach — lecz snać do głowy,
Żaden mu pomysł nie przyszedł nowy,
Bo klął co chwila, zębami zgrzytał —
To znowu w księgach wojskowych czytał,
Kreślił napadu plany rozliczne.
Lecz choć nauki znał strategiczne,
Nie mógł zrozumieć mądry wódz szwedzki,
Jak stawia opór zamek Grojecki?

Toć kurnik mniejszy od Częstochowy!*)
A więc zachodził myślą do głowy,
I już — już środek znajdował pewny —
Lecz po namyśle rzucał go gniewny!

„Ha! nie ma rady! lecz siłą całą,
Przyjdzie nam działać, aby wyjść z chwałą!

---

*) Szwedzi pogardliwie nazywali Częstochowę kurnikiem.

Więc zanim słońce blaski roztoczy,
Korzystać pilnie z nocnych zamroczy!
Napad na zamek uczynić wtóry,
Wyciąć załogę i zburzyć mury!
Mieć w pogotowiu wszystkich żołnierzy!
I dwóch co większych użyć mozdzierzy! —
Ciekawym, czy też sile tej sprosta,
Nędznego zamku dumny starosta?“

III.

W zamku Grojeckim rzesza zebrana,
Jęczy i modły wznosi do Pana,
Błagając kornie by raczył cudem,
Okazać litość nad wiernym ludem!

„O! Panie! Panie! spojrz na Twe sługi!
Na one łuny krwawemi smugi
Opasujące kraj nasz jedyny!
Panie! miej litość nad Twemi syny!
Daj nam pierw umrzeć, niźli w żałobie,
Nad matką naszą rozpaczać w grobie!

Panie! nas bóle własne nie straszą!
Chętnie ponosim i śmierć i blizny!
Ale się zlituj nad dziatwą naszą,
Co już nie będzie mieć swej ojczyzny!
Niech dla nas słońce zaćmi blask złoty,
Niech zgasną gwiazdy niewoli świadki,
Ale spojrz Panie! na te sieroty,
Na te w wolności zrodzone dziatki!“

IV.

Powstała rzesza, bo oto z dala,
Jak wściekłej burzy niszcząca fala,
Co pierwej ziemię w całun owije
Zanim śmiertelnym gromem zawyje — —
Ryknęły działa — i dymów chmury,
Gęsto okryły zamkowe mury!
Wydano hasła —
„Do broni wiara!
Hej! mości Szwedzie! od zamku wara!“
Huknął starosta: „Bracia pancerni!
Ojczyzna woła — bądźmyż jej wierni!
Niech syny Polski jako Spartanie,
Niosą zwycięstwo lub giną za nie!
Czoła i piersi nadstawmy śmiało,
Dłoń swą i serca nieśmy w ofierze,
By jako wierni kraju żołnierze,
Albo paść w boju — albo wyjść z chwałą!“

V.

W zamku się wzmaga wrzawa straszliwa,
Szwed już po trzykroć basztę zdobywa,
I choć nie stygnie w walce zażartej,
Trzykroć piersiami dzielnych odparty!

Wre, kipi bitwa — grom dział, szczęk broni,
Dalekie echa niosą po błoni!
Z wałów migają szmigownic łuny,
Miotając kule jakby pioruny!
A w krąg, na hasło klęsk lub zwycięstwa.
Brzmią — jęk i modły, wrzask i przekleństwa!

VI.

Ostatnia wreszcie zbliża się chwila!
Szwed całą siłą w zamek uderza —
Już, już zwycięstwo doń się przechyla
Ach! czyż mężnego brakło rycerza?
Czyliż już mamy, o! Matko święta
Wieniec wawrzynu zmienić na pęta?

Już, już na murach zamku zatknięty,
Na srom nasz, sztandar powiewa wroga!
Wzmaga się walka, wre bój zacięty,
Krwią i trupami zasłana droga!
Zgrzytają szable, jęczą koncerze,
Pierś przeciw piersi stają rycerze!
A tak zaciekłość ich rozpłomienia,
Że straszna walka w rzeź się zamienia!
Lecz tam, gdzie bój się najcięższy szerzy,
Rzuca się dzielny hufiec młodzieży,
I siejąc w koło okrzyki trwogi,
Zdobywa sztandar i gromi wrogi!

O! młodzi polska! po wiek i ninie
Błogosławionaś! w bolach zrodzona!
Ty umiesz zawsze w trwogi godzinie,
Męski hart dobyć z młodego łona!
Więc kryzmem wiary dziś skroń twą zbroję,
I twoje serca — i piersi młode:
Na krwawe walki, na ciężkie znoje,
I na męczeństwo i na swobodę!

VII.

Świt złoty kończy walkę zażartą!
Od bram zamkowych Szweda odparto!
Ucichły działa. — — Gdzieniegdzie tylko
Słychać szczęk broni — chwilka za chwilką
Coraz to większy spokój przynosi.
I tylko z wieży czatownik głosi
Hasła wojenne krótkiemi dźwięki —

A z wiatrem płyną ranionych jęki!

VIII.

W zamku Grojeckim stają posłowie,
I sprawę swoją w pokornej mowie
Zdają staroście:

„Szlachetny Panie!
Wódz nasz, generał króla Karola,*)
Śmie was upraszać o pobłażanie
Dla jego słowa; i jeśli wola,
Do siebie prosi was na układy;
A że na sercu nie nosi zdrady,
Szle wam, jak każe obyczaj stary,
W zakład rycerze — i sute dary!"
Rzekłszy, czekają długo posłowie,
Aż im starosta wreszcie odpowie:
„Niech zakładnicy odejdą zdrowo!
Waszemu panu wierzę na słowo!
Ale z darami — precz mi nie Boga!
Do mnie mosanie nie tędy droga!
Dłoń bym swą raczej porąbać kazał,
Niźli bym darem wrogów ją zmazał!
Więc nie składajcie skrzyń waszych z wozu,
Bo wam się złoto przyda w potrzebie!
A ja — nim gwiazdy zejdą na niebie,
Przybędę jeszcze dziś do obozu!"

*) Menzdorff, generał wojsk Karola XII.

IX.

W namiocie wodza zastęp pogaty,
Zbrojnych rycerzy gości przy stole;
Perlistym miodem wznoszą wiwaty,
Cnych wojowników w biesiadnim kole.

„Mości starosto!“ wódz szwedzki rzecze
Do pana zamku: „jeżeli wola,
Gdy to języka waści nie spiecze,
To pij za zdrowie króla Karola!“

Na to szyderstwo, ogniem wezbrały
Lica starosty; zatrząsł się cały,
I rzekł powstając:
„O! generale!
Wiwatu twego nie cofam wcale!
Pić będę chętnie, ale do licha!
Pierwej się moje nie dotkną usta
Kryształowego twego kielicha —
Aż ty nie spełnisz zdrowia Augusta!“*)

„Ha gdy pić nie chcesz, to my za twoje
Wypijem zdrowie!“ Tu klasnął w dłonie,
Wnet uchylono opony zwoje:
Weszli siepacze — Jakiś żar wionie —

*) August III., król polski.

Czyżby z ogniska, co przed namiotem,
Tak pięknie światłem połyska złotem?
O! nie! to zbrojni taki żar niecą,
Z ich to, z ich dłoni te blaski lecą!
A w dłoniach ogniem rozpłomieniona,
Jak krąg, żelazna błyszczy korona!

I rzecze Menzdorf: „Mości starosto!
W życiu prywatnem, jam drogą prostą
Szedł, lecz na wojnie — jako się zdarzy!
Podstęp uchodzi — lecz niech mię o to,
Najpierwsza w boju nie minie kula!
Jeśli nie spełniam teraz z ochotą
Zdrowia, na chwałę polskiego króla!
Dzisiaj cię witam królem! A zatem,
Nie wchodząc w żadne prawa i racje,
Potrójnym ciebie witam wiwatem,
A teraz, proszę na koronację!“

Rzekł — i trzech katów wodza porwało —
I męczennika, co nad mogiłą
Stał, jeden siepacz dłonią zuchwałą,
W twarz śmiał uderzyć! — . . . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Rozśmiał się Menzdorf, i rzekł wesoło:
„Mistrze obrzędu! żywiej!“
Na czoło
Męczeńskie, djadem opadł ognisty,
Jak na skroń Pana wieniec ciernisty!

Syczy żelazo — twarz się skurczyła,
Od strasznych bólów, lecz ścięte wargi
Które nadmęska skowała siła,
Ani pół słowa nie wzniosły skargi!
Od żaru ognia aż czoło płonie!
A taką postać miał wódz Lechitów
W onej godzinie, jakby z błękitów
Święty męczennik w jasnej koronie!

X.

Mówią: gdy Szwedzi zamek zdobyli,
Z narożnej wieży w tej samej chwili,
Jakaś niewiasta z rozpaczą w oku,
Strąciła dziecię na dno potoku,
Co się pod zamkiem wił jak w pierścieniach,
I niknął w strasznej przepaści cieniach.

Do dziś dnia jeszcze prawi lud prosty,
Cudnej legendy tajemne słowo:
Że tą kapłanką, tą białogłową,
Była małżonka pana starosty.

Bo kiedy Szwedzi zdradziecko, nocą.
Grojecki zamek wzięli przemocą:
Ona, by syn jej nie wpadł w niewolę,
W ofierze niebu składa pacholę!
A sama w strasznej walki godzinie,
Rzuca się za niem w przepaść — i ginie!

XI.

Dawne to dzieje —! dziś mech wiekowy
I dzikie chwasty zamek okryły!
Wierni strażnicy głuchej mogiły,
Puszczyki huczą hymn pogrzebowy.
Czasami odbłysk błędnych ogników,
Rzuca na zręby blask migotliwy!
A baśń ludowa podaje dziwy,
Że to są dusze tych wojowników,
Co legli z chwałą w zamku obronie,
I dziś go strzegą nawet po zgonie!

To znów północą z gruzów zamczyska,
Płynie jęk cichy i szept pacierzy!
A kiedy niebo gromami ciska,
Słychać w podziemiach starcia rycerzy!
I mówią ludzie, że one woje,
Powstaną kiedyś w godzinę Bożą,
I pójdą z wrogiem na krwawe boje,
I pasmu cierpień koniec położą!

* * *

Panie! my błagać Ciebie nie w sile
Bo wielkie nasze błędy i grzechy:
Lecz Miłosierny! przybliż tę chwilę,
Za wiek niedoli chwilę pociechy!

Matko Bolesna! k'Tobie się garnie
Naród jęczący w pętach sromoty!
Spojrzyj na ludu Twego męczarnie,
Na tułające się dziś sieroty!
Na krańcach ziemi widnieją kości,
Biednych wygnańców z ojczystej strzechy!
A więc się zlituj, Matko Litości!
I zbliż jęczącym chwilę pociechy!

Warszawa 1868 r.

KASPER KARLIŃSKI

POEMAT DRAMATYCZNY W TRZECH AKTACH.

OSOBY.

Kasper Karliński.
Stanisław Stadnicki zwan Diabłem.
von Ritterhoff.
Zaremba.
Zygmuś, trzechletni syn Karlińskich.
Barbara Karlińska.
Hanna.
Dorota.

Szlachta. Straż zamkowa.

Rzecz na zamku w Olsztynie 1857 r.

AKT I.

(Starożytna kommata z wejściem wolnem na podwórzec zamkowy).

SCENA I.

KARLIŃSKI, ZAREMBA, STADNICKI i Szlachta.

KARLIŃSKI.

Więc Zygmunt przeszedł? a mówże nam wasza.

ZAREMBA.

Gorącą prawie mielibyśmy kaszę.
Jam z razu poczuł ze coś źle się dzieje;
Wołam na swoich: „trza tu działać siłą
Bo zły jak widzę w tem kole wiatr wieje.“
Ano — z porządku opowiem jak było.
Skoro już stanął poczt ziem i powiatów,
I elekcyjny sejm został otwarty,
Hetman Zamojski o buławę wsparty,
Rzekł: „aż dwóch mamy na tron kandydatów —
Królewicz szwedzki i rakuski książe,
Obaj cnót wielkich, każdy z męstwa słynie.
Lecz do pierwszego nić dziejów nas wiąże,
Bo w jego żyłach krew Jagiełłów płynie.
Jego podaję — bo on z krwi nam drogiej,
Na tron królewski jako kandydata!“
— Byłby wraz przeszedł, gdyby nie prywata,
Co jako ślimak pokazała rogi.
Bo pan Zborowski z ansy do hetmana
Krzyknął — a za nim jurgieltników gardła:
„Precz z tym Szwedzikiem! Maksymilijana
Na tron prosimy!“ — Bracia się rozdarła

Na dwa obozy; ścierały się głosy,
Już nawet szable zabrzękały głucho.
Widząc to Prymas, wzniósł ręce w niebiosy,
Nakazał ciszę — daliśmy mu ucho.
„Ano, nie skończym mili bracia — rzecze,
Bo w poniewierce widzę karność, cnota —
Zażarci, na się dobywacie miecze,
Wszakci jest wyjście — porachujmy wota!“
Nuż więc obliczać z której strony racja?
W tem prymas powstał, wzniósł powtórnie dłonie,
I rzekł wzruszony: „Deo nostro gratia!
Zygmunta królem ogłaszam na tronie!“
Więc w naszych radość zagrała niezmierna,
Z tysiąca piersi jeden okrzyk bije:
„Rex Sigismundus vivat in aeterna!
Król Zygmunt trzeci niech żyje!“

WSZYSCY (oprócz Stadnickiego).

Niech żyje!

KARLIŃSKI (do Stadnickiego).

Wołaj waść z nami!

STADNICKI (z sarkazmem).

Cóż mi po tej pracy,
Skoro ja z wami nie mogę iść zgodnie.
Pięknego króla obrali Polacy —
No, teraz pod nim mogą spać spokojnie.
Z babięty kądziel przyjdzie im prząść pono,
Kłaść ciepły kubrak lisiurką podszyty —!
Gdzie jemu rządzić berłem i koroną,
Chyba być klechą w Rzeczypospolitej!

KARLIŃSKI.

Na Boga! cóż to czytam w waszej twarzy?
Wprawdzie król w modłach wiedzie żywot cichy,
Lecz lubi pracę —

STADNICKI (j. w.).

Prawda, złoto smaży,
Lub na pacierze chodzi między mnichy.

Chcecie — to powiem co o nim słyszałem:
Mówią, gdy djabła czuje za kołnierzem,
Progi kaplicy zmiata kornem ciałem,
A ksiądz go grzmoce święconym skaplerzem.
I toż ma król być, to pobożne chłopię?
Aż mię śmiech zbiera — to dzieciuch wyraźnie!
Każę na polu wnet zasiać konopie,
Bo nuż mu braknie postronków na łaźnię,
Trza sobie skarbić względy króla — pana.

v. RITTERHOFF (cicho do Stadnickiego).

Miarkuj się w mowie, bo patrzą na ciebie,
Odgadną wszystko —

KARLIŃSKI.

Wszem w obec to znana
Że waszeć przysiągł na Chrystusa w niebie,
Iść z naszą partją —

STADNICKI.

Dotrzymam z ochotą,
I pójdę, byle nie leźć tylko w błoto.

KARLIŃSKI.

Nie małym waść mię nabawił kłopotem —
Jak to rozumieć? —

STADNICKI.

Zrozumiesz mię potem.

v. RITTERHOFF (j. w.).

Milczcież na Boga!

STADNICKI.

Zresztą, wolne zdania
U wolnych ludzi. — Choć serce się skłania,
Nie taję, w stronę inego wybrańca,
Skoro nam Prymas dał już pomazańca
I kraj się zgodził — nie kłóćmyż się o to.
To król pobożny ten Zygmunt, zajęty
Jedynie niebem — gotówem piechotą

Do jego tronu, jak do ziemi świętej,
Odbyć pielgrzymkę, błagać przebaczenia.

KARLIŃSKI.

Mowa waszmości goryczą zaprawna!
Wy nie trzymacie z Zygmuntem —

STADNICKI.

Rzecz jawna,
Że chciałem pana z innego ramienia:
Ot, Maksymiljan jak stworzon na króla,
Karmazyn, krew w nim zacna — nie nowina,
A sława jego jak wiatr w świecie — hula.

ZAREMBA (n. s.).

Gdzie on w niemczyku widzi karmazyna?

KARLIŃSKI.

Lecz gdy Zygmunta ozdabia korona,
O tamtym niechże cisza będzie głucha,
Sprawa skończona!

STADNICKI.

Skończona, skończona!
(n. s.) Dopóki znów jej szatan nie rozdmucha.

ZAREMBA.

Ano, niech skończę, pozwólcie łaskawie,
Bo nie tak gładko do reszty się wiodło.
Ledwie że Prymas zabrał głos w tej sprawie.
Zborowski, nagle jakby go coś bodło,
Zerwał się z miejsca i krzyknął nam w uszy:
„Nie ma tu zgody! nie idziem z Zygmuntem!“
A za nim cała partja się poruszy,
Krzycząc i grożąc. — Skończyła się buntem
Sprawa, z początku tak pięknie zaczęta —
A pan Zborowski, jął się tejże chwili,
Jakby do boju sprawiać regimenta.
I tak odwetem strasznym zagrozili
Z chorągwią łącząc się Maksymiljana.

STADNICKI (na ucho do Ritterhoffa).

Cesarscy tutaj! więc nasza wygrana!

KARLIŃSKI (smutno).

Panie Zborowski! mszcząc się śmierci brata,
Przeciw ojczyznie z wrogiem wchodzisz w zmowę?
Strzeż się! w powietrzu wisi topór kata,
Na pieniek własną możesz ponieść głowę.
Więc dla jednego człowieka swywoli,
Kraj ma się cały pogrążyć w wichurze?
(do Zaremby)
Ładź mi do drogi! może Bóg dozwoli,
Że mi się uda zażegnać tę burzę.
(Wychodzi z Zarembą, za nimi Szlachta.)

SCENA II.

STADNICKI i v. RITTERHOFF.

STADNICKI.

Idź stary głupcze, gardłuj na Szwedzika
Bo, jak on, toniesz w modlitwach i poście!
Dzisiaj się z pieluch kraj cały ocyka,
Ojczyzna myśli o sile, o wzroście!
Co nam da Zygmunt? co? — księże szkatuły
Puste, jak twoja, starcze, głupia głowa!
A Maksymiljan niesie nam tytuły,
Splendor korony — to nie na wiatr słowa! —

v. RITTERHOFF.

I nie dość na tem — hojność jego znana,
A ceniąc w Waści animusz rycerski,
Może straż odda pieczęci kanclerskiej,
Albo wam wręczy buławę hetmana.

STADNICKI.

No, no — nie o to teraz tutaj chodzi;
Choć zawsze, było, przestawam na małem —
Sądzę, że król mi drogi nie zagrodzi,
Bom jego sprawie oddan sercem całem.

Byle po myśli poszły mi zamiary! —
Tylko ten starzec bruździ mi zuchwale —
No, jeśli jego o ziemię powalę,
Przy nas zwycięstwo! Krzep się dobrze stary!

v. RITTERHOFF.

Lecz ty się kochasz tutaj, a pod tchnieniem
Niewieścich czarów, nawet pierś rycerska
Topnie, nieboże, jak wosk pod płomieniem.

STADNICKI.

Ba! lecz powinność —

v. RITTERHOFF. (kończąc)

I pieczęć kanclerska!

STADNICKI.

Zresztą, poprzysiądz mogę wam na duszę,
Że chociaż amor drasnął mię niestety,
Dosyć mam siły nad sobą — i tuszę,
Że mię pod bucik nie wezmą kobiety.

v. RITTERHOFF.

No broń się mocno! miłość ma swe prawa,
Sto razy wraca choć się jej wyrzeczem,
Z nią nie wojować fantazją, ni mieczem! —
Lecz ten Karliński — z tym trudniejsza sprawa
Ma wpływ u szlachty, poparcie na dworze
Hetmańskim —

STADNICKI.

Wiesz ty, co nienawiść może?
Rani śmiertelnie jak zatruta strzała.
A ród Stadnickich do Karlińskich gniazda
Oddawna zemstą przytłumioną pała.
Dotąd szczęśliwa świeciła im gwiazda —
Bo czy to w polu, czy to na urzędzie,
Oni rycerstwa stanowili czoło.
Lecz poprzysięgam! dłużej tak nie będzie! —
Widzę, jak skręca się fortuny koło
Na moją stronę — pochwycę je w locie!

A że mię urok twarzyczki niewieściej,
Trzyma w uwięzi — że tam przy ochocie,
Człowiek się z ładną dziewczyną popieści,
Toć to miłością jeszcze mię nie ślepi.
Gdy o mnie idzie — nie szczędzę nikogo!
Jeśli mi płacząc, u nóg się uczepi,
Jak sprzęt zbytkowny odtrącę ją nogą.
Na to żem przyjaźń udawał kłamaną,
Wchodził w te progi — kując zemstę głuchą,
Bym z rąk Karlińskich weselne brał wiano,
A idąc po nią — odchodził z dziewuchą?
Jeśli w ich głowie myśl taka powstała,
Niech się nią bawią — niech się próżno kuszą
Ziścić zamysły! — — Tam mię woła chwała,
Dostojność czeka —

v. RITTERHOFF (n. s.).

Mam cię teraz z duszą!

STADNICKI.

Nie tak to łatwo rządzić sercem mojem —
Serce ze stali mam! —

v. RITTERHOFF (kończąc).

I miecz ze stali!
Umiej go użyć — reszta w ręku twojem —
Lecz i mnie pilno — tam się burza pali.

STADNICKI.

Spiesz waść — i naszych w obozie uwiadom,
Że wraz przybędę, może jeszcze nocą.

v. RITTERHOFF.

Przybywaj waszmość, przybywaj z pomocą.
Tymczasem tutaj, jako miejsc tych świadom,
Czuwaj w tym zamku — i śledź Karlińskiego
Na każdym kroku — powściągaj go proszę.

STADNICKI.

A nie zaszkodzi jeśli Zborowskiego
O planach jego uprzedzisz potrosze.
Wspólnemi siły łatwiej się coś sklei,

Powiedz co bredził — i przeszkodź nim pocznie
Nawracać braci, tonem kaznodziei.

v. RITTERHOFF.

Czekam w obozie.

STADNICKI.

Stawię się niezwłocznie.

(v. Ritterhoff odchodzi.)

SCENA III.

STADNICKI (sam).

Co mi ten niemczyk paplał o miłości?
Miłość? ja nie znam jej, to są tumany!
We mnie gra tylko burza namiętności,
Gruchań gołębich język mi nieznany.
Lecz czemuż o niej pamięć mię przeklęta
Ściga i kąsa jak trujące węże.
Precz z nią! dość siły by potargać pęta,
U nóg Omfalji Herkules nie lęże —

(po chwili)

Śliczna to dziewka! — jak ptaszka z gałęzi
Lub Bekwarkowej lutni głos jej dźwięczy.
Wzrok jej me serce trzyma na uwięzi,
Jak lichą muszkę w siateczce pajęczej.
Rozerwę sieć tę, lub dziewkę przykuję
Do moich losów, że się nie wyłamie — —
Ja jej nie kocham — a przecież coś czuję
Tutaj — — Czy serce zwodzi mię, czy kłamie?
Co bądź w niem kipi — ta sarenka młoda
Duszą i ciałem do mnie już należy.
Panie Karliński, szkoda mi cię, szkoda,
Że to z jej ręki grom w ciebie uderzy.

SCENA IV.

STADNICKI, KARLIŃSKI, ZAREMBA, HANNA, KARLIŃSKA i DOROTA (Dorota z Zygmusiem na ręku).

KARLIŃSKI.

Ano, jam gotów — (do Stadnickiego). Panie Stanisławie,
Bywaj zdrów waszeć — pod strażą czci twojej,

Całe me mienie pozostawiam prawie —
Bądź wojskim tutaj! (do rodziny.) Żegnajcie mi moi!
Wrócę niebawem i tuszę, zastanę
Wszystko jak dawniej zdrowo i wesoło.
(do Hanny) No Hanno, daj mi swoje śliczne czoło,
Czegoś tak dziwnie dzisiaj utroskane.
(przyciska ją do piersi).
Cóż to, drżyż dziecko? no, no, ptaszko płocha,
Jeszcze daleko do ślubnej łożnicy —

KARLIŃSKA (miarkując męża)

Mężu!

KARLIŃSKI.

Rumieniec na licu dziewicy,
Zdradza, że serce dziewczyny już kocha.
A co, nie zgadłem? puk, puk — jak uderza —
Dziewka znalazła swojego rycerza
Jak w gminnych baśniach, o których lud baje!
(dobrodusznie do Stadnickiego) Bierz ją rycerzu!

STADNICKI (n. s.)

Sam mi ją oddaje,
Sam, Bóg mi świadkiem —

KARLIŃSKI.

Zmrok pada — do drogi!
Bóg z wami!

KARLIŃSKA.

Mężu, pobłogosław syna.

KARLIŃSKI (do Doroty).

Daj mi to dziecię. (bierze je na ręce) Pociecho jedyna!
Daj Bóg, gdy wrócę szczęśliwie w te progi,
Abym cię witał i zdrowym i hożym.
Teraz cię synu żegnam krzyżem Bożym,
Opieki niebios przyzywam dla ciebie,
Niech mi cię strzegą aniołowie w niebie.

STADNICKI.

Pozwól mi sobie towarzyszyć w drodze —

KARLIŃSKI.

O nie, bo Hanna będzie okiem łzawem
Ścigać cię wszędy — zostań przy niebodze —

STADNICKI.

No, więc do brony — powrócę niebawem.
(Odchodzą wszyscy oprócz Hanny.)

SCENA V.

HANNA (sama).

Nawet nie spojrzał i nie wyrzekł słowa!
Stał obojętny, gdy stryj prawił tyle,
Że aż lic moich krasa purpurowa,
W krwawą się barwę mieniła co chwilę.
Co się z nim stało? — lecz to minie, minie,
Powróci do mnie, do serca przyciśnie —
Albo to serce we łzach się rozpłynie,
Lub jak dyjamęnt w sto gwiazd się rozpryśnie.
(Po chwili.)
Po cóż ja płaczę — i czemu drżę cała —
Tu nań zaczekam, modląc się w cichości!
(Idzie do modlitewnika, bierze książkę i wyjmuje z niej zeschłą różę.)
Znowu cię witam różo moja biała,
Pierwszy zadatku tajemnej miłości!
O inszy on był wtedy — gdy we włosy
Wpinał cię moje — i inszą tyś była;
Na listkach twoich lśniły krople rosy,
W których się jego miłość źwierciedliła.
Dziś biały kwiatku zeschły listki twoje,
Że lada wietrzyk zdmuchnie je i skruszy. —
Tak oto więdnie biedne serce moje,
I tak znikają marzenia mej duszy.
(rzewniej)
Powracaj kwiatku między zżółkłe karty
Tej świętej księgi — pożałuj niebogę,
Opowiedz niebu dzieje mej rozdartej
Duszy — ja tylko łzą się modlić mogę!
(Przyklęka płacząc.)

SCENA VI.

STADNICKI i HANNA.

STADNICKI (nie bacząc Hanny).

Pojechał sobie i mnie oddał pieczę,
Nad domem całym — niech jedzie, niech jedzie.
Zanim z powrotem do dom się przywlecze
Ani śni — jakie szatan tu zawiedzie
Tańce — (spostrzegając Hannę)
Wy tutaj?

HANNA.

Darujcie, odchodzę,
Skoro wam moje nie miłe oblicze;
Nie wiecie jak ja nad tem cierpię srodze.

STADNICKI (ze wzrastającą namiętnością).

Któż o tem mówi? — Zostań — twe słowicze
Szczebioty, luba, jak deszczyk majowy
Leją na pierś mą balsamiczne zdroje.
O, daj mi patrzeć w jasne oczy twoje,
Czytać w nich słodkiej miłości osnowy!
Kochasz mię Hanno?

HANNA.

Cóż się rzec ośmielę —
Patrzcie mi w oczy i czytajcie sami.

STADNICKI.

Ust twych różanych nigdy fałsz nie plami,
Mów sama o tem —

HANNA.

Kocham!

STADNICKI.

Wiele?

HANNA.

Wiele!
Tak wiele nawet, aż się sama boję,
Czy przez to Boga nie kocham za mało.

STADNICKI.

Więc mi swe serce oddajesz?

HANNA.

Już twoje!

STADNICKI.

Całe?

HANNA.

Że tutaj cząstki nie zostało — (wskazuje na serce)
Całe zabrałeś.

STADNICKI (n. s.).

O! klnę się na duszę
Wieczystą, że ją kocham niesłychanie!
Ona jest moją i mieć ją dziś muszę!

(do Hanny).

Tyś moją Hanno!

HANNA.

Twoją, miły panie!

STADNICKI.

Nie o tem mowa — chciej mię pojąć proszę:
Twój stryj — źle mówię — lecz — nas dzieli zwada,
Dziś mi o ciebie prosić nie wypada
A czekać nie chcę. —

HANNA.

Twarz wasza tak blada,
Naprzemian znowu nabiega krwią żywą.
Co was tak trapi, mówcie — a pomogę.

STADNICKI.

Jeśli mię kochasz miłością prawdziwą,
To zaraz, tutaj, zbieraj się — i w drogę,
Zaraz, natychmiast —

HANNA.

I po cóż tak spieszyć?
Bez pożegnania ni z ciotką, ni z stryjem!
To grzech — a ja się, panie, lękam grzeszyć —
Przyjdą zapusty —

STADNICKI.

Jeśli ich dożyjem,
To tak daleko — pójdź w objęcia moje,
Będziem szczęśliwi! — Koń czeka przed bramą,
Któż nas dogoni? —

HANNA.

Ja się o was boję —
(Stadnicki unosi ją w pół).
Ratunku!

STADNICKI.

Piekło nie wydrze cię samo!

SCENA VII.

CIŻ i v. RITTERHOFF.

v. RITTERHOFF (wchodząc).

A! tak — to dobrze —

STADNICKI.

W drogę spieszmy, w drogę!

HANNA (wydzierając się).

Boże!

v. RITTERHOFF.

Pozwólcie — ja dźwigać pomogę!
(wychodzą.)

Zasłona spada.

AKT II.

(Sala gotycka, po prawej kominek płonący, przy którym siedzi Karliński; drzwi główne, dwoje bocznych, jedne tajemne. Na podłodze porozrzucane zabawki dziecięce).

SCENA I.

KARLIŃSKI Z ŻONĄ.

KARLIŃSKI.

Ledwiem się z partją przeciwną uporał,
Wracam zbolały i strapiony srodze:
Patrzę, aż wróg mi zagony zaorał,
A w domu rozpacz i smutek znachodzę.
Lecz jak to było? opowiedz Barbaro!

KARLIŃSKA.

Stadnicki czyhał na godzinę szarą,
A gdy zmrok zapadł, wężowemi słowy
Usidlił dziewkę!

KARLIŃSKI.

Na mych przodków głowy!
Na których hańba taka nie postała
Klnę się, że będzie pomszczona zakała
Domowi memu!.... Lecz czyż stare druhy
Spały, czy kordów zapomnieli w dłoni?

KARLIŃSKA.

Poszli — lecz zdążył ubiedz od pogoni!

KARLIŃSKI.

Z psów pozdejmować trza było łańcuchy!...
Lecz Hanna? Boże, to nadmiar boleści!

Ona, się zdało, cnotliwszą jak inna —
A to gad tylko w postaci niewieściej!

KARLIŃSKA.

Klnę ci się mężu, że ona niewinna!

KARLIŃSKI.

Niewinna? cóż to, czyliż ona dziecię,
Że jak niemowlę omackiem poczyna?
Czyżby się zlękła utopić nóż w grzbiecie,
Co się do zdrady niby wąż nagina?

KARLIŃSKA.

Mężu mój miły! czyż niewieściej dłoni
Przystał kord męski i śmiałość rycerza?
Gołąb' się trwożny, przed jastrzębiem chroni,
Lecz nigdy sił swych z napaścią nie zmierza!

KARLIŃSKI (nie zważając).

Stadnicki zdrajca, bo złej broni sprawy,
Bo obcym bogom przekupne szle modły!
Alem niewiedział i to cios zbyt krwawy
Ze dłoń po Hannę ściągał człowiek podły!
Lecz ja to ramię nikczemne pokruszę,
A w zemście mojej sam szatan nie sprosta,
W lochach wyzionie i męczarniach duszę....

SCENA II.

POPRZEDNI i ZARĘMBA.

ZAREMBA.

Poseł z obozu — Stadnicki Starosta!

KARLIŃSKI (zrywając się)

Co? on się ważył, on? w tak strasznej chwili?
Tutaj, gdzie posiał ziarna łez i zdrady?
Idź stary głupcze, wzrok cię pewno myli.

ZAREMBA.

Nie myli Panie! chce zawrzeć układy!
Czeka przy bramie pod osłoną straży —
Jak parlamentarz do zamku się zgłasza,

Nawet do boku nie przypiął pałasza,
Bo czyjaż ręka tknąć go się poważy?

KARLIŃSKI.

Więc on? on, mówisz? czyżby śmiał zuchwały
Sam, własną ręką ściągać na się burzę?
Igrać z rozpaczą — nie, to krok zbyt śmiały,
A ludzie podli — zazwyczaj są tchórze!
Lub może przyszedł pokorny i zgięty,
Łaski, jak drugi żebrać Iskarjota?
I chce w padalcze owinąć mię skręty,
Niepomny ostrza mojego brzeszczota?
Jakże, czy dobrze patrzałeś mu w oczy?

ZAREMBA.

Dawna w nich buta kipi i płomienie!

KARLIŃSKI.

Panie Stadnicki — waść ze mną się droczy,
Nie wiesz, że jedno mej ręki skinienie
A pogrzebowe zaczną dzwony dzwonić.
Dobrze, niech wejdzie! oczy mu zasłonić
I przez kurytarz prowadzić go ciemny.
Stać w pogotowiu, pozapalać lonty!

ZAREMBA.

Jak każesz wodzu, lecz zachód daremny,
Jemu tu w zamku znane wszystkie kąty (odchodzi).

SCENA III.

KARLIŃSKI Z ŻONĄ.

KARLIŃSKI.

Idź tam Barbaro — (wskazuje na kaplicę)
upadnij przed Panem,
I siły błagaj dla męża w tej porze,
By wyszedł cało z tej walki z szatanem —
Aby nie zadrżał —

KARLIŃSKA.

Wspomagaj cię Boże.
(Odchodzi na prawo.)

SCENA IV.

KARLIŃSKI.

(Sam — padając na kolana.)

Ojców mych Boże! któryś od skalania
Gniazda Karlińskich strzegł przez wieków tyle!
Kazałeś cierpieć — toć dodaj wytrwania.
Nieść krzyż kazałeś, więc ukrzep mię w sile!
Ale nie dozwól, o Wszechmocny Panie,
By włos mój siwy, nieskalany niczem,
Aby mój żywot poszedł w najgrawanie!
Bym stał się prochem przed wroga obliczem.
Jam pył w Twych oczach, i w pyle się korzę!
Alem Twą łaską namaszczon przed braćmi.
Niechże jej teraz zniewaga nie zaćmi!

(Pauza).

I bądź mi sędzią wiekuisty Boże!

(Powstaje i idzie ku głównym drzwiom.)

SCENA V.

KARLIŃSKI — ZAREMBA I STADNICKI.

ZAREMBA.

Mości starosto, proszę, tędy droga!

(Wprowadza Stadnickiego i zdejmuje mu z oczu opaskę).

KARLIŃSKI

(spostrzegając parlamentarza).

Chyba nie było by już w niebie Boga,
Gdyby mi nie dał zdusić tego węża,
Broń się, lub —

STADNICKI.

Widzisz, wszak ja bez oręża.
Pohamuj gniew twój — a raczej każ panie
Stawić puhary i omszałą flaszę.
Ja zgodę niosę! Daj mi posłuchanie
Na osobności —

KARLIŃSKI.

(do Zaremby) Zostaw nas tu Wasze!

(Zaremba oddala się.)

SCENA VI.

KARLIŃSKI I STADNICKI.

STADNICKI.

Czyśmy bespieczni?

KARLIŃSKI.

Jak więźniowie w celi.

STADNICKI.

Żołnierz, nie lubię długich ceregieli —
Otwarcie powiem co mię tu sprowadza:
Mości Karliński! czyście poszaleli!?
Wódz nasz potężne siły nagromadza,
Za chwilę może, za jedną godzinę,
Cały ten kurnik obróci w perzynę.

KARLIŃSKI.

Niech czart go wiedzie, jeśli się poważy!
Lecz ja kur czujny, i póki na straży
Stoję, potrafię bez rady Waszmości,
Wykurzyć z zamku nieproszonych gości!

STADNICKI.

Więc to stanowcze słowo i ostatnie?

KARLIŃSKI.

Raz tylko mówię i nie cofam słowa:
Mospanie, nie dam uwikłać się w matnię,
Niby gładyszek albo białogłowa!
Rozumiesz waszeć?

STADNICKI.

Trudna z wami rada!

KARLIŃSKI.

Trudna, i słowo waści nic nie nada!

STADNICKI.

Jednakże wódz nasz do układów skory,
Chcąc zaoszczędzić krwi zacnej narodu,
Przyrzekł, gdy klucze przyślecie do grodu:
Wszelkie wam odda rycerskie honory,

Wolno do domów puści panów braci,
Wszystkim pretensjom zadosyć się stanie!
A Maksymiljan przysługę odpłaci,
Może dostojność....

KARLIŃSKI.

(Z oburzeniem) Nie kuś mię szatanie!
Nie dość, żeś hańbą skalał próg w tym domu,
Wbrew urągając potężnym niebiosom —
Chcesz jeszcze piętno przekupstwa i sromu
Narzucić gwałtem moim siwym włosom?
Czyliż ci nie dość, żeś już własne serce,
Żeś wolne ramię przykuł do łańcucha?
Jeszcze się kusisz jak nocni morderce,
Zabijać braci najczystszego ducha!
Sądzisz że —

STADNICKI.

Mości Karliński! dość tego —
Ja milczeć umiem — ale klnę się Waści,
Ze pięścią gołą obronię napaści!

KARLIŃSKI.

Ja się nie lękam — a czy wiesz dla czego?
Bo już to ramię i serce nie twoje —
Bo z własnej woli nic ci nie ostało:
Męstwo i cnotę sprzedałeś oboje,
A w ręku wroga jesteś tylko strzałą —
Tak, gdzie się zwrócisz — o wieczna sromoto
W ślad za twym krokiem pójdą od jej chwili
Ci, co twą wolność i wiarę kupili:
Boś niewolnikiem stał się im za złoto!
Lecz samotnemu straszno żyć na świecie,
Mroków się nocy lękają wyrodni!
Zbyt ciężka hańba, która pierś twą gniecie,
Przeto wspólnika szukasz tu dla zbrodni.
Lecz go nie znajdziesz w lichej garstce ludzi,
Której moc Boska jedyną obroną.
Której występek sumienia nie brudzi:
Co śmierć przenosi nad wolność shańbioną!

Idź ztąd — daremnie kalasz własne gniadzo,
I w oczach wrogów obryzgiwasz błotem —
Pod złą ci przyszło poczynać dziś gwiazdą,
Nie kupisz cnoty — bo tu cnota złotem.
Lecz znajdź mi okup na polskie sumienie
Godny, a sam się tragować pokuszę.
Powiedz, czem wrogów z ojczyzny wyżenię,
A za ich pogrom własną ci dam duszę.

STADNICKI.

Mości Karliński, tak straszna zniewaga —

KARLIŃSKI.

Krwią się zmyć żądna, czy taka myśl wasza?
Niechajże ona do śmierci cię smaga!
Ja twą posoką nie splamię pałasza.
Mógłbym cię tutaj zahaczyć na wędzie,
Bo mnie twa godność poselska nie sroga. —
Lecz wzgarda raczej niech karą ci będzie!
Żegnam! otwarta Waści z zamku droga!

SCENA VII.

STADNICKI (sam).

Jak psa mię przyjął i jak psa wypędza,
Ale ja hańby mojej nie daruję!
Mości Karliński, wątła bardzo przędza,
Na której Wasze plany swoje snuje!
Znam wszystkie przejścia i drogi tajone!
Będziem się ważyć, a ujrzym po chwili
Szczęścia i pomsty szale pochylone,
Na czyją stronę fortuna przychyli? (Pauza)
Zdrajcą mię nazwał ten starzec zuchwały,
A jam w krwi jego nie skąpał oręża?
I jak on wielki, tak ja byłem mały,
Czułem, że jakaś siła mię zwycięża.
Jam się nie pomścił? o wieczna sromoto!
A on mię raził słowami jak gromem...
Za to jak Samson potrzęsę tym domem,
Aż własne gruzy starego przygniotą.

(Pauza.)

Ale i wtedy z pod krwawych popiołów
Grzmieć będzie słowo z ust strasznego Boga:
„Nie kalaj zdrajco! mogiły aniołów,
„Z piętnem Kaima w świat — otwarta droga!“
(Wchodzi Zygmuś i zbiera zabawki.)
Korzyć się niebu z taką ciężką winą,
Darmo, Bóg nie da łaskawego ucha —
(Zwracając się nagle do dziecka:)
Módl ty się za mną anielska dziecino,
A Bóg aniołów, może cię wysłucha?
Nie chcesz się modlić... o znam cię pacholę
Co niewinnością przygniatać chcesz zbrodnie.
Zgaszę tę gwiazdkę co lśni na twem czole,
A w ręce dam ci pogrzebu pochodnię.
Tak będziesz ojcu przyświecać w żałobie,
Jak blada jutrznia gdy gaśnie przed rankiem.
Nie chcesz się modlić, a więc ja cię zrobię
Stadnicki szatan, maleńkim szatankiem.
(Porywa dziecię na rękę, które z krzykiem wydziera się.)
Poczekaj teraz ty stary zuchwalcze,
Nawiodę ja ci strasznej grozy chmury,
A w chmurach piorun! No, cicho bądź malcze!
Albo twój czerep roztrzaskam o mury!
(Znika w tajemnych drzwiach.)

SCENA VIII.

KARLIŃSCY (wchodzą z prawej)

KARLIŃSKA.

Czemuś o biedną nie pytał niebogę?

KARLIŃSKI.

Wszak dobrowolnie obrała tę drogę —
Ja zwracać nie chcę, niech jadą na światy
W rzeczy publiczne nie mięszam prywaty —
A to prywatny mój ból — a to żarty —

SCENA IX.

CIŻ I ZAREMBA (wpada)

ZAREMBA.

Panie, dostałem języka od warty:
Widziano z wałów, jak Stadnicki w pole
Unosił konno jakoweś pacholę.
Po jasnych włosach i po białej świcie,
Poznano wodzu, że to twoje dziecię!

KARLIŃSKA (z bolesnym krzykiem)

Boże! (pada zemdlona.)

KARLIŃSKI.

(do Zaremby) Szalony starcze! mów przez piekło,
Czy dziś twe oczy złe jakie urzekło,
Ale nie, widzę, otworem drzwi stoją!
Tak, tą kryjówką co wiedzie w manowce,
Uniósł dziecinę tę najmilszą, moją!
Hej stary! wybrać najlepsze wierzchowce,
Osiodłać żwawo i ruszyć w sześć koni!
A kto mi pierwszy chłopięcia dogoni,
Kto stroskanemu wróci ojcu dziécię,
Oddam mu wszystko — i mienie i życie.

(Zaremba odchodzi.)

KARLIŃSKA.

(powstaje i bieży do okna)

Ha, pędzą — gonią — padł wystrzał — o Boże!
Synu mój — Gdzież są? zginęli w tym pyle.

KARLIŃSKI.

Ukój się żono, Bóg im dopomoże,
Nie długo czekać, powrócą za chwilę!

SCENA X.

POPRZEDNI I DOROTA.

DOROTA.

(wbiega jakby w obłąkaniu.)

Gdzie mój gołąbek, gdzie jest moje złoto?
Mówcie! przez święte Chrystusowe rany!

KARLIŃSKI.

Nie ma go, nie ma, nieszczęsna Doroto

DOROTA.

Gdzie mój Aniołek? porwany, porwany,
Ale ja pójdę, puśćcie mię na Boga!
(Chce biedz — Karliński ją wstrzymuje.)
Oni mi oddać moje oczko muszą.
Puśćcie mię panie, padnę do nóg wroga,
Może łzy moje ich serca poruszą?

KARLIŃSKA.

Doroto! jam ci najdroższy skarb w świecie,
Jak drugiej matce z ufnością oddała —
Taraz cię pytam, gdzie jest moje dziecię —
Gdzie syn mój, słyszysz, gdzieś dziecko podziała?
Na toś je z mego uniosła objęcia,
Aby jak kamień zginęło w otchłani?
Ja teraz żądam mojego dziecięcia,
Oddaj mi syna —!

DOROTA.

O pani, o pani!
Jam go od chłodu strzegła i od spieki,
Do snu mu główkę tuliłam strudzoną.
On mię tak kochał, że często z opieki,
Z rąk twoich pani na moje biegł łono.
Teraz po łątki wydzierał się swoje,
Jam go puściła — o Boże, i na to
Bym za niem oczy wypłakała moje,
Nie utulona we łzach za mą stratą?

KARLIŃSKI.

Błogosławiony kto win nie pamięta,
Kto krzywdę bliźnim przebacza z ochotą.
Snać taka była niebios wola święta,
Nie wiń jej przeto!

KARLIŃSKA.

(wyciągając ręce) Pójdź do mnie Doroto!
(Ściska ją.)

KARLIŃSKI.

Straszną nas próbą dotknęły niebiosy!
Wszakże nie sądzić nam wyroków Boga —
Może i dla nas spłynie kropla rosy,
A wspólna boleść już nie jest tak sroga.

SCENA XI.

CIŻ i ZAREMBA (wchodząc powoli.)

ZAREMBA.

Powracam wodzu!

KARLIŃSKA.

Starcze, bez dzieciny?
Jakżeś bez dziecka śmiał stanąć przed matką?

ZAREMBA.

Cnotliwa Pani! nie z naszej to winy. —
Z wrogiem w wertepach nie idzie tak gładko.
Rumaki nasze, jak gdyby do lotu
Skrzydeł im śmigłe przydali orłowie,
Pędziły rączo. Lecz tuż przy parowie
Dzielącym obóz od fortecznych szańców
Musiałem mieć się z swemi do odwrotu.

KARLIŃSKI.

Ścigać go było do ostatnich krańców!
Podejściem jakiem zaskoczyć zdradzieckiem
Lub zabić...

ZAREMBA.

Próżno byśmy się kusili:
Gdy jedna kulka gwizdnęła, w tej chwili —
Od drugiej waszem zasłonił się dzieckiem.

KARLIŃSKI.

Już po raz wtóry tych forteli zażył
Ten szatan, wzrosły z plugastwa i błota.
Lecz ja się Panu memu będę skarżył,
Przez wszystkie chwile mojego żywota,
Powiem: o, Panie! to był mój ostatni,
Któregom Tobie sposobił od rana.

Lecz wróg do swojej uwikłał go matni,
Z Anioła — zdrady chcąc zrobić szatana!
Lecz ty go Boże wyrwiesz z lwiej paszczęki
Jako Daniela i oddasz mi Panie!
Boś jest potężny!

ZAREMBA.

Amen! Niech się stanie.
Tymczasem wodzu nie opuszczaj ręki;
Z pomocą niebios tu działać należy.

KARLIŃSKA.

Ale cóż począć, radź druhu nasz wierny?

ZAREMBA.

By dziecię w wrogów wybawić obieży,
Trzeba im okup posłać niepomierny!

KARLIŃSKI.

Prawda w twych słowach, Niemce lubią grosze,
Bierz więc tę kiesę i nieś im ofierze!
(Wrzuca do hełmu Zaremby kieskę.)
Potem to brudne śmietnisko rozproszę,
Na którem same snują się handlarze.

KARLIŃSKA.

Weź i te perły i tę szpilkę drogą,
Którą obmyła stokroć łza matczyna.
I rozpacz moją ponieś ,starcze, wrogom,
Byle mi tylko okupiła syna.
(Składa do hełmu klejnoty.)

DOROTA.

Weźmijcie także i ten sznur korali.
(Wręcza je Zarembie.)
Korale duże, ciężkie jak łzy moje.
Na cóż mi dzisiaj odświąteczne stroje,
Gdy skarb mój wszystek wrogowie zabrali?

ZAREMBA.

Bogate dary na chciwe niemczyska —
Dam im ćwierć naprzód, a potem połowę.

KARLIŃSKA.

A gdy i całość nic u nich nie zyska?

ZAREMBA.

Łzy matki rzucę im klątwą na głowę.

KARLIŃSKA.

W smutku was żegna i w boleści dusza —
Pomnijcie, byśmy witali was radzi.

KARLIŃSKI.

Mości Zarembo, komu czas, ten rusza,
Niech Bóg waszecia szczęśliwie prowadzi.

(Zaremba chce oddalić się; Dorota wstrzymuje go.)

DOROTA.

Czekajcie Panie...

(Zwracając się kornie do Karlińskich.)

Ja wam służebnicą,
Ale pod moją było dziecię strażą,
I mnie iść za niem —

KARLIŃSKI.

A gdy cię pochwycą,
I losy dziecka podzielić rozkażą?
Gdy nie pomogą łzy i prośby twoje —
I zginąć przyjdzie —

(Karlińska robi giest przerażenia.)

DOROTA (przerywając)

Zginiemy oboje.

(Wychodzą. Karliński żegna ich krzyżem świętym.)

Zasłona spada.

AKT III.

(Podwórzec zamkowy — działa na lawetach, przy działach puszkarze. Szary poranek; scena stopniowo rozjaśnia się).

SCENA I.

KARLIŃSCY później ZAREMBA.

KARLIŃSKA.

Straszna to trwoga i boleść matczyna,
Utracić syna, jedynego syna,
A z nikąd nawet nadziei promyka.

KARLIŃSKI.

Czyż serca twego straszniejsza daleko,
Nad własną stratę boleść nie przenika?
Patrz, dzielnej młodzi krew leje się rzeką.
W gruzach świątynie i zagrody leżą,
Ołtarze jeszcze dymią się krwią świeżą,
A groby przodków, których sam Bóg strzeże,
Wróg oplugawił i zorał jak zwierzę.
Zaliż nam wolno, gdzie cierpiących tyle,
Patrzyć, czem własna boleść się osłodzi?
Przecież nie padaj — z obozu za chwilę
Wróci posłaniec — (spostrzegając Zarembę)
Lecz oto nadchodzi.
Jakież nowiny?

ZAREMBA.

Niepomyślne zgoła —
Twarde warunki rokoszanin kładzie;
Wiara schyliła uznojone czoła,
A syn twój został u wrogów w zakładzie.

KARLIŃSKI.

A jak z okupem?

ZAREMBA.

Cóż poczniesz z hołotą,
Jeno się z mojej naśmieli szczerości:
„A co to stary — niesiesz złoto, złoto,
Daj sam — jest za co, będziemy grać w kości“.
I to co miałem połknęli mi gładko.

KARLIŃSKA.

A cóż mi starcze niesiesz za nowiny?
Nie masz litości nademną — jam matką,
Ja pragnę wiedzieć co tam mój jedyny
Pieszczoch porabia — czy mu tam, na mrozie,
Jest aby na czem przespać się w obozie,
Bo to tak zimno — a otwarte pole.

ZAREMBA.

Właśnie chcę mówić: widziałem pacholę,
W braku kołyski tarczę wyścielono,
Na wroga szczycie pacholę złożono —
Spało, gdym przyszedł.

KARLIŃSKI.

Zły to znak to spanie,
Kto legł na tarczy nie łacno z niej wstanie

KARLIŃSKA.

Dobra noc synu — sklej senne powieki —
Kto wie, czyś dla mnie nie zasnął na wieki!

KARLIŃSKI.

I cóż tam jeszcze — mów mi prawdę nagą.

ZAREMBA (wskazując na Karlińską).

Wodzu — lecz —

KARLIŃSKA.

Mów, mów, ja słucham z odwagą.

ZAREMBA.

Ano , wieść smutna do mnie się przedarła,
Bo mi ją chcieli zataić niecnoty ,

Nasza panienka najmilsza umarła!
Nie mogąc przenieść na chwilę sromoty,
W ręku skonała staroście —

KARLIŃSKA.

Tak, Hanna
Umarła czysta.

KARLIŃSKI.

Hosanna, hosanna!
Chwała bądź Panu na niebie wysokiem,
Że strzegł imienia naszego i domu!
Lepiej że tam się skryła za obłokiem,
Niśli by wróg ją owiał chmurą sromu.

KARLIŃSKA.

O biedna siostro!

KARLIŃSKI.

Cóż mi niesiesz dalej?

ZAREMBA.

A cóż, złe wszystko — warunki podali
Twarde —

KARLIŃSKI.

Lecz jakie?

ZAREMBA.

Jeżeli o świcie,
Dzisiaj, mówili — broni nie złożycie,
Jeżeli zanim trzeci kur zapieje,
Z murów chorągiew biała nie powieje,
Zginiecie wszyscy —

KARLIŃSKA.

Lecz dziecię, cóż dziecię?

ZAREMBA.

Pani, mówili że wszyscy zginiecie!

KARLIŃSKI (do Zaremby).

Choćby tak padło, niech wiedzą nieczuli,
Że mi nad syna droższą ziemią matka —

Dopóki starczy mi prochu i kuli,
Murów tych bronić będę do ostatka!
Lecz gwiazdy gasną — bierz hyżo na wały!
Walka to będzie straszna — Bóg to widzi.
Słuchaj, gdy znajdziesz szmat chorągwi białej,
Podrzej ją w sztuki, niech wróg z nas nie szydzi.
Idź, w pogotowiu niech stoją puszkarze!
Za pośpiech starcze dajesz własną głowę —
Czekać dopóki strzelać nie rozkażę,
Lecz wszystko ma być do szturmu gotowe.

(Zaremba wychodzi).

SCENA II.

KARLIŃSKI (zwracając się do żony).

Nie płacz Barbaro! tu łzy nie pomogą,
Najświętszą sprawę trza okupić drogo,
Bóg dał, Bóg weźmie — o wolałbym raczej
Na ołtarz kraju dać żywot biedaczy,
I własną głowę położyć pod topór,
Niśli to dziecię. — Chcieć im stawiać opór —
Próżno nadzieja do mnie się uśmiecha —
W sercu mem wyją strasznej groźby echa:
Będziesz zabójcą! Precz okropna maro,
Co w duszy na mnie wołasz z wielkim krzykiem:
Odwagi, skoro nie mogę ofiarą —
Miłej ojczyźnie będę ofiarnikiem.

KARLIŃSKA.

Ty ofiarnikiem? zaliż kraj wymaga
Takiej objaty przed Bogiem i światem —
Żona cię prosi, matka u nóg błaga,
Własnego dziecka wszak nie będziesz katem?

KARLIŃSKI (surowo).

Niewiasto!

KARLIŃSKA.

Jam je przy piersi nosiła,
Na przyszłą kraju gotowałam chlubę;

Lecz mi przemocy wydarła go siła,
A własny ojciec obmyśla nań zgubę.

KARLIŃSKI (czulej).

Żono!

KARLIŃSKA.

O pomnij, że to nasz najmłodszy!
Siedmiu już dałeś ojczyźnie w ofierze,
Nasz Beniamin najmilszy, najsłodszy —
Zaliż i tego Stwórca mi zabierze,
Nieczułą ręką własnego rodzica —?

KARLIŃSKI.

Bóg ma w opiece i starce i dzieci —
Jeśli go stracim —

KARLIŃSKA (z wybuchem)

Ja będę jak lwica
Bronić dziecięcia, mojego dziecięcia,
I chyba z życiem co za niem uleci,
Z macierzyńskigo wydrzesz je objęcia.

KARLIŃSKI.

Przestań już, przestań — wszak ja ojcem przecie,
I pocóż w pierś mą wbijać ostre noże.
Wszak i ja żono kocham moje dziecię,
Jak rodzic własne dziecię kochać może.
Jam w niem położył całą ufność moję,
Podporę wieku marzył w tej dziecinie,
Przy niej mieć chciałem bespieczną ostoję,
Gdy łódź żywota do brzegu dopłynie.
On miał uświetnić mą tarczę herbową —
Domowi memu nowej dodać chwały:
Stokroć w snach moich ponad jego głową
Widziałem wieniec z wawrzynu wspaniały —
I naraz wszystko niby senna mara,
Prysło przedemną, het — aż w przepaść ciemną!
O Panie — straszna goryczy Twej czara,
Jeślim zasłużył — zlituj się nademną.

(Zaremba wchodzi).

SCENA III.

CIŻ i ZAREMBA.

ZAREMBA.

Wodzu, czas działać — bo widzę, z daleka
Niemców się mnogość leje jako rzeka —
Wróg szturm przypuszcza — a chwila nie minie.
Mniejsza tam o nas, ale syn twój zginie.

KARLIŃSKI.

Skąd ci się wzięło, skąd syn do tej sprawy!
Jeżeli zginiem, to ten zastęp wraży
Za syna weźmie okup suty, krwawy!
A jeśli szala fortuny przeważy,
I wróg odparty, zwyciężony wszędzie —

ZAREMBA (przerywając).

To i tak panie syn twój żyć nie będzie.

KARLIŃSKA.

Cóż to za słowa okropne — mów jaśnie —

ZAREMBA.

Więc stałem sobie u wyłomu właśnie,
I bystrem okiem patrzyłem przed siebie —
Śnieg lekko pruszył — może ich zagrzebie —
Myślałem w duchu gdy większy popada.
Naraz ta cała w obozie gromada,
Halabard, koni, chorągwi i ludzi,
Nagle się rusza, niby ze znu budzi —
Jak smok wyrasta w kolumnę olbrzymią:
Wloką się działa i pochodnie dymią.
Ha, więc im pilno nabawić się sromu!
Krzyknę na swoich: „czuj duch, strzedz wyłomu!“
I patrzę dalej — aż w tem —

KARLIŃSKA.

Panno złota
Z Jasnego Wzgórza! jak on słowa cedzi —

KARLIŃSKI.

I cóżeś ujrzał?

ZAREMBA.

Przed wojskiem — Dorota,
A na jej ręku nasz paniczyk siedzi,
A niańka płachtą owija mu nogi
Aby nie zmarzły. Więc ja do załogi:
„Patrzeć tam — wiara!“ Dłoń w kułak — spojrzeli,
I choć nic więcej nie rzekłem do wiary,
Każdy się żegnał, chcąc odgonić czary,
Bo oni, wodzu, wszystko zrozumieli —

KARLIŃSKI.

Więc to był syn mój?

KARLIŃSKA.

Słyszysz niewzruszony!
Wróg przeciw tobie szuka w nim osłony;
Zanim twa kula jego szereg zmiecie,
Naprzód twe własne podruzgota dziecię.

ZAREMBA.

Wodzu, czas nagli —

KARLIŃSKA.

Mężu! daj odprawę —
Patrz, serce moje rozpęknie się krwawe.
Pomnisz, on nieraz szczebiocząc wesoło,
Na szyję twoją zawieszał ramiona,
Do piersi twojej tulił białe czoło,
Jak gdyby mówił: „tu moja obrona!“
On czuł dziecięciem, że kiedyś twe ramię,
Krok jego młody w życiu poprowadzi,
Że serce twoje praw ojca nie złamie,
Że rodzic dziecka własnego nie zdradzi.
I tak już w zamku zabrakło żywności,
Dziś, jutro — zewnątrz wrogi go obsadzą, —
Każ most opuścić — o mężu! litości!
Wszak za tę twierdzę syna ci oddadzą.

KARLIŃSKI.

Powrócą dziecko — o straszne tortury —
Lecz utraconą kto mi cześć powróci?

Za krew dziecięcia, choć oddam te mury,
To ono potem klątwę na mnie rzuci —

KARLIŃSKA.

Syn twój?

KARLIŃSKI.

Zoczywszy, jak od ojca stronią,
Jak piętno hańby o próg się zahaczy,
Stanie przedemną, zakrywszy twarz dłonią,
I spyta, czemuś nie zabił mię raczej?

KARLIŃSKA.

Lecz ja cię błagać będę do ostatka,
Litości szukać w twojej chmurnej twarzy:
Ma prawa swoje ojczyzna — ma matka,
Rzuć je na szalę — patrz, która przeważy?

KARLIŃSKI.

O Panie, straszną zsyłasz na mnie próbę!
Nad czołem moim widzę miecz Twój nagi,
Własne mi dziecko wieść każesz na zgubę,
Ale nie pytasz czy starczy odwagi!
Jaka jest boleść dla ojca najsroższa,
Wszystka mi ducha osłabia i gniecie!

(Otrząsając się:)

Lecz Karlińskiemu ziemia ojców droższa,
Nad własną boleść, i nad własne dziecię —
Ha, lont mi podaj —

KARLIŃSKA.

Boże!

KARLIŃSKI.

O mój synu!
W takąż mi przyszło wyprawiać cię drogę.

(Chce lont przyłożyć — pauza — opuszcza rękę.)

Serce mi pęka, sił brakło do czynu,
Precz, precz z tym lontem — ja strzelać nie mogę!

KARLIŃSKA.

Mężu! Bóg święte zsyła ci natchnienie,
Bo on sercami człowieczemi władnie:

Ukórz się przed nim i ukój cierpienie,
Niech na twą głowę krew dziecka nie spadnie!

KARLIŃSKI.

O tak, nie na mnie, lecz niechaj na wroga,
Krew ta upadnie i toczy mu ciało,
I niech o pomstę wciąż bije do Boga! —
(Do Zaremby:)
Do mnie mój druhu! sam tu, podpal działo!

ZAREMBA (przyklękając).

Wodzu! to dziecię, to syn twój jedyny;
Ty sam zostaniesz w świecie jak sierota,
Bóg boleść twoją policzy za czyny —
Wodzu — ja pójdę i otworzę wrota.
O! stokroć lepiej poddaj im się. — Dłużej
Trudno już walczyć, nie bądź dla mnie głuchy;
Wszak nam nie nagną szyi do obróży,
Ani nam ducha nie skują w łańcuchy. —

KARLIŃSKI.

Precz, precz odemnie! tak nie mówią męże!
Zaliż zniewaga spodleniem się płaci?
U nóg siepaczów jak gady i węże,
Czołgać się mamy, lub ściskać jak braci?
O Polsko biedna — więc już się jednoczy
Niewolnik z katem, i stopy mu liże?
O Panie! straszne zsyłałeś już krzyże,
Ale od tego daj odwrócić oczy.
(Odtrąca od nóg Zarembę.)

KARLIŃSKA (do Zaremby cicho).

Ratuj mi syna, gdy ojciec nie może,
Wróć biednej matce jej dziecko jedyne.

ZAREMBA.

Zbiorę więc zaraz ochoczą drużynę,
Zrobię zasadzkę — reszcie Bóg pomoże.
(Wychodzi.)

SCENA IV.

KARLIŃSCY.

KARLINSKA.

Mężu, on obcy naszemu dziecięciu,
A łza litości u powiek mu drżała —
Słyszysz, za chwilę może już w objęciu,
Syna, mojego syna będę miała.
Daj się przebłagać! —

KARLIŃSKI.

O jakież katusze!
Żono, ty nie wiesz że każda łza z oka
Twego, jak kamień spada mi na duszę,
I na mej piersi ciąży jak opoka.
Tyś mi kazała w zapomnienia szale,
Miłość ojczyzny kłaść z twoją na wagę;
Ja teraz moją dorzucam na szalę,
Która przeważy — patrz, gdy masz odwagę.

KARLIŃSKA.

Lecz rozważ — co cię król Zygmunt obchodzi;
Nie znasz go w oczy, on tobie nieznany.
Czy on ci syna twego oswobodzi,
Czy wróci chociaż krwi kroplę przelanej?

KARLIŃSKI.

Tak, ja go nie znam — lecz po jego stronie,
Cnota stać każe i cześć niewzruszona.
Jego już widzę u steru — na tronie,
Naród go wybrał — więc sprawa skończona.
Toć jak przekupniarz stałbym się najlichszy,
Gdybym się pytał kto trud mój zapłaci? —
Wbrew temu stawam — kto tu w kraju wichrzy,
Z narodem trzymam i zginę za braci —
Gdyby mi padło żywot dać w ofierze,
Dałbym z ochotą dla ojczyzny mojej
I dziś gdy Stwórca syna mego bierze —
Do tej ofiary — serce me uzbroi —

A ty idź żono do swojej kaplicy,
I przed ołtarzem błagaj Boga w niebie:
Niechaj podwoi bystrość mej źrenicy
Abym nie chybił —! Dla siebie —

KARLIŃSKA (kończąc).

Dla siebie
O cóż się będę Panu naprzykrzała —
Jam już odważna, patrz, mam suche oczy,
Jam już łzy wszystkie dawno wypłakała,
Teraz się jeno z nich wolno krew toczy — —
O! teraz we mnie siła wielka, wielka,
Bespiecznie mieczem godzić w pierś mą można —
Jam Polka przecie — jam obywatelka —
Ja syna święcę — (pada)

KARLIŃSKI (do straży).

Wynieść ją z ostrożna.

(Postępując na proscenium.)

Ostatnia wreszcie zbliża się godzina —
Zda się, że na mnie cała Polska woła:
„Nie trwóż się przelać krwi twojego syna,
Abrahamowi Bóg zesłał anioła,
I tobie z niebios nadejdzie pociecha!“

(Gwar za scenią.)

Pieśni wojennej dolatują echa —
To wrogi moje na zwycięstwo pieją.
Wcześnie wam jeszcze cieszyć się nadzieją:
Choć mi ten wieniec gotujecie krwawy,
Hańbą się nigdy nie splamię, nie zmażę —
Ani się świętej wyprę mojej sprawy,
Jeno stać będę jak ojczyzna każe!
Więc niech się spełni —

(Zbliża się do wyłomu i za wałami spostrzega syna.)

Boże! ach to dziécię!
Widzę je, widzę! wyciąga rączęta,
Twarz jego zda się mówić uśmiechnięta:
— Ojcze, ty kochasz mię więcej niż życie,
I niż ojczyznę — powinność — cześć własną?
O nie, idź synu twoją drogą jasną,

Pierwej ojczyźnie wierność ślubowałem,
I pierw Polakiem niż ojcem zostałem.*)
(Słychać trąbkę.)
Cóż to za hałas, wrzask trąby złowrogi?
(Zaremba wprowadza Stadnickiego.)
Ha! to ten szatan!

SCENA V.

KARLIŃSKI, ZAREMBA, STADNICKI.

ZAREMBA.

Przytarte ma rogi.
Nasi na obóz napadli z nienacka!
Przez krótką chwilę kipiał bój złowrogi,
Lecz nam się jakoś udała zasadzka.
Ano — ten ptaszek, już się nie wywinie.
(Odchodzi do wyłomu.)

KARLIŃSKI (z goryczą).

Panie Stadnicki! tu, w takiej godzinie,
Patrzyć, czy ręka ojcu nie zadrżała,
Gdy ją złość twoja ciagnęła do działa? —
(gwałtownie)
Słuchaj szatanie — tyś to dziecię moje,
Przed wojsk kolumną kazał nieść na czele,
I mnie krwią bluzgasz — ja się krwi tej boję!
Strzelaj — gdy możesz.

STADNICKI.

Z palca nie wystrzelę!
Każ mi lont podać.

KARLIŃSKI.

Masz! przekleństwo tobie!
Lecz kończ, przez litość, mnie drży z twogi ręka —

STADNICKI (zbliża się i spostrzega dziecinę.)

Dziecko! — Precz z lontem — nie, tego nie zrobię,
Starcze, piekielna, piekielna to męka

---

*) Historyczne.

Strzelać do dziecka — nawet w mojej duszy,
Takich pomysłów szatan nie układa.
Szalony starcze, ja z dziećmi nie toczę
Wojny, a krwi chcesz, to ci jej utoczę
Tyle — aż skąpiesz się po same uszy —
Każ dom podpalić brata czy sąsiada
Podpalę — własnej nie oszczędzę duszy,
Lecz to straszniejsze niż zemsta i zdrada!

ZAREMBA.

Wodzu mój! chwili do straty nie mamy!
Już wał zdobyty, garstka naszych kona,
Wróg toporami wybija nam bramy —

KARLIŃSKI.

Lont, lont mi podaj! — (strzela)
Ofiara spełniona!
(Pauza.)
Idź, zobacz co tam? — (Zaremba wychodzi i wraca po chwili)
Jak mi serce bije —
Bóg jest miłościw — o ja wierzę, wierzę,
On mi dziecięcia mego nie zabierze!

ZAREMBA.

Niemce odparto.

KARLIŃSKI.

A syn mój?

ZAREMBA.

Nie żyje!

KARLIŃSKI.

W oczach mi ciemno!

STADNICKI.

Nie rozpaczaj stary,
Pociesz się, będziesz miał trupa do pary!
(Przebija się.)

(Zasłona spada.)

POLSKIEMU PACHOLĘCIU.

,,Wyleć orłem z twego gniazda!
Miłać będzie taka jazda!
Spojrzyć z góry na twą ziemię,
I rodzinne twoje plemię!"

W. Pol.

O czem tak marzysz małe pacholę?
I czemu troska siadła na czole,
Na skroni twojej dziecięcej?
Czemu pierś twoją westchnienie wznosi,
A jasne oczy łza bolu rosi,
I serce bije goręcej?

Jak orlę młode z granitów skały,
Tak się do lotu zrywasz mój mały!
Jak skrzydła, wznosisz rączyny!
Na wiatr rozwiane jasne twe sploty,
Że mi wyglądasz synku mój złoty,
Jak anioł z Bożej krainy?

O! rozwiej skrzydła sokole młody!
Nad twoje ziemie, sioła i grody,
Nad rzeki twoje i morza!
I czy ci w polu zostać hetmanem,
Czyli u steru dzielnym retmanem:
Spocznie na tobie dłoń Boża!

Rzuć się w toń świateł, jak nurek śmiały!
I perły zbieraj synku mój mały!
Perły do dziejów skarbnicy!

I nie to garnij co blaskiem świetne,
Lecz to co zacne, szczytne, szlachetne,
Co godne wielkiej świątnicy!

A więc na ziemie, wiatry i wody,
Poselstwo daję ci, synku młody —
Więc spraw się dobrze chłopczyku!
I z wiatrów zbieraj ożywcze tchnienie,
Ze ziemi rosę, z niebios promienie!
Z wód perły — bursztyn z Baltyku!

I.

Nie płacz, nie płacz synku drogi!
Żeś na ziemi swej ubogi!
Że nie miecz ci, ani radło,
Lecz tułactwo w doli padło —
Żeś łzy tylko i cierpienia,
Odziedziczył z twego mienia!

Przez Bóg żywy — to fałsz dziecię!
Najprzód wziąłeś na tym świecie,
To, co rodu twego znakiem:
Imię zacne — żeś Polakiem!

A czy wiesz ty, ile cześci,
Krwi i sławy w niem się mieści?
Czyś policzył te rozwiane
Na kurhanach twoich krzyże?
I te stepy zaludniane
Braćmi twymi na Sybirze?

O! puść w niebo wzrok zuchwalczy!
Ile gwiazd się złotych wije:
Tyle ludu twego walczy,
Tyle pada — tyle żyje!
I nadstawia piersi krwawej,
Dla imienia tego sławy!

Patrz: u progu krzyżem leży
Jakaś postać krwią oblana;
Wzrokiem wzgardy królów mierzy —
O! poznałeś, twarz Rejtana!
Krew ci w piersiach wre namiętniej!
Pomnij synu! za tym wzorem
Życia swego pójdziesz torem,
Z krwią, co w żyłach jego tętni!

Wpij w ten obraz oczy młode!
I pochwyć co duszą czystą!
I leć orle na swobodę,
Na twą ziemię patrz ojczystą!

Pod Krakowem trzy kurhany
Po trzech stronach lśnią Krakowa!
We dwóch legły dwa hetmany,
W trzecim cudna śpi królowa!

Rannym dzionkiem, za skowronkiem,
Jakieś w niebo lecą głosy —
Pieśni płyną — nad doliną,
Racławickie wieszcząc kosy!

Ciszej, ciszej o mój mały!
Wszak to piosnka dawnej chwały,
Co tak złudnie w pierś się wkrada,
I łzą czystą na twarz spada.

Ale czemuś zaćmił oczy,
I tak smutno patrzysz ku mnie?
Że wyglądasz wśród przezroczy,
Jak aniołek biały w trumnie?

Coś ci jękiem pierś nadrywa,
Żwawiej bije coś serduszko?
A z usteczek ci się zrywa:
To Głowacki, to Kościuszko!

O! miej ufność! Bóg dozwoli,
Że ta dziatwa jednej roli,
Chwyci jeszcze do swych prawic
Dzielne kosy z pod Racławic!

II.

Nie płacz, nie płacz synkn drogi,
Żeś na ziemi swej ubogi —
Że nie miecz ci, ani radło,
Lecz tułactwo w doli padło...
Żeś łzy tylko i cierpienia,
Odziedziczył z twego mienia!

Urodzajna twoja rola:
Zbożem śmieją ci się pola,
Lasy twoje — echa głuszą;
Owce wełną ci się puszą;
A jesienią na jabłoni,
Szkarłatem się owoc płoni,
Że zostaje na przechówek,
I na zimę i — przednówek.

Kwieciem strojne łany twoje,
Kaskadami szumią zdroje;
A jeziora twe i rzeki,
Niosą łodzie w świat daleki.

Z łanów twoich — w dawne lata,
Tyś śpichlerzem był pół świata!
Dzieląc wszystkich pod swem niebem,
Równo sercem jak i chlebem!

Sól — z Wieliczki brałeś hojnie;
Złoto w dani lub na wojnie;
A na pługi i do zbroi,
Szło żelazo z ziemi twojej;
I starczyło z twojej gleby,
I na zbytek — i potrzeby!

Więc pogodnem patrz mi licem!
Boś ty skarbów tych dziedzicem,
A co z ręki poszło Bożej,
To nie ginie — lecz się sporzy!
„To nie ginie! — lecz w wszechświecie
Byt Bożego nosi dzieła." *)
Więc ufności drogie dziecię:
Jeszcze Polska nie zginęła!

---

*) Myśl Seweryna Goszczyńskiego.

III.

Ucz się, ucz się chłopcze dziarski,
Z bólem łamać się za młodu;
Ucz się cierpieć jak Konarski!
W mękach tortur, więzów, głodu!

Niechaj w tobie, synku złoty,
Miłość prawdy ma kapłana!
Poświęcenia, wiary, cnoty:
Ucz się chłopcze mój od Zana!

I nie padaj na pół drogi,
Choć pierś ostrym ranią grotem:
Lecz przez ciernie, trud i głogi,
Idź mój synu za Czeczotem!

Idź i pracuj dziecię moje,
Nie odwracaj od ksiąg lica,
Ucz się czerpać nauk zdroje:
Od Czackiego i Staszyca!

A gdy dosyć już zdobędziesz,
I dość w sercu złożysz w swojem:
Tak znów innych zbroić będziesz —
Jak my ciebie w drogę zbroim!

IV.

Czy znasz młody przyjacielu,
Groby królów na Wawelu?

Poznaj skarb ten szczerozłoty,
Co ozdabiał twoje trony!
Najzacniejsze to klejnoty,
Z całej polskiej twej korony,

Na kolanach idź mój mały,
Przed te trumny marmurowe!
Tu do czynów i do chwały,
Wzmacniaj serce, pierś i głowę. —

Tu nadziei żar i wiary,
Niech się w sercu twem rozgości!
Na ołtarzu tym ofiary,
Poświęcenia i miłości!

Tu uczucia najgorętsze,
W młodem swojem roznieć łonie!
Bo tu wszystko co najświętsze,
W tym złożono Panteonie!

Tu pod mroczych sklepień stropem,
Legł król kmiotków pełen chwały:
Co nie szablą — ale snopem,
Podparł Polski tron wspaniały!

Tu czapeczka dobrze znana...
Wawrzynową spięta wstęgą:
Zwłoki wodza i hetmana
Co moskiewską wstrząsł potęgą! *)

A naprzeciw — dziecię moje!
Drugi hetman legł ze sławą!
Co do walki polskie woje,
Marszałkowską wiódł buławą! **)

Tu szczerbiona szabla w boju,
I laurowy wieniec świeci —
Tak po trudach i po znoju
Syt wawrzynów legł Jan trzeci!

Ci co światła blaski siali,
I praw ludu wiernie strzegli:
Męże czynu, hartu stali,
Dwaj Zygmunci tutaj legli.

Z Jagiellonów cnego rodu,
Sercem mężny, duszą płochy —
Legł pod Warną książę młody, ***)
I tu jego liczym prochy!

Tu Jagiełło — na świątnicach
Starych Bogów, krzyże dźwiga!
Obok cudna, z łzą na licach —
W sarkofagu śni Jadwiga —

Wszystkoż, wszystkoż tak posnęło,
Jak te sławy naszej świadki?

---

*) Sarkofag Tadeusza Kościuszki.
**) Grobowiec X. Józefa Poniatowskiego.
***) Władysław Warneńczyk.

Wszystkoż, wszystkoż tak minęło,
Jak na grobach więdną kwiatki?

Precz z rozpaczą! Choć z mogiły —
Roześmieje się kwiat w wiośnie!
Więc zaczerpmy tutaj siły,
Bo z przeszłości przyszłość rośnie!

V.

Jako zorzy blask wspaniałej,
Dzień nam błysnął odkupienia,*)
Dzień radości, pieśni, chwały,
Dzień braterstwa — przebaczenia!

Znów się bratnie łączą dłonie,
Jako ogniwo z ogniwem;
A co wewnątrz serca płonie,
To wybucha słowem żywem!

Słowo toczy się jak lawa
Wulkaniczna — silna, wrząca,
A co jej na drodze stawa,
To przepala lub roztrąca!

Bracia moi! dłoń do dłoni!
Jedność myśli, uczuć, ducha!
A choć zgrzyt nam kajdan dzwoni,
Któż ich dzisiaj brzęku słucha?

Dalej w burze! w huragany!
Tylko krzyże wziąść do prawic!
A rozpękną się kajdany
Od piorunów i błyskawic!

I powstaniem w dawnej sile,
Na bok rzucim jęk niewieści!
Odkupieni przez mąk tyle,
Uświęceni przez boleści!

*) Dzień trzechsetnej rocznicy unii lubelskiej.

VI.

O narodzie mój kochany,
Tytaniczne wiodłeś boje!
To też straszne twoje rany,
Toż straszniejsze drogi twoje!

Synów twoich zasyłano
W głąb Sybiru — do Kamczatki!
Dzieci twoje odrywano,
Od zwłok ojca — z objęć matki!

Bezczeszczono twoje córy,
I hańbiono starce siwe —
Rozbijano skroń o mury,
I grzebano trupy żywe!

A z ciał ludu darto szmaty,
Użyzniając ziemię czarną. —
Aż i nadszedł dzień rozpłaty,
I rzucone zeszło ziarno!

Młodzi polska! w twojem łonie,
Ziarna tego wschodzi zaród!
Ty dziś stoisz na wyłomie,
Za o j c z y z n ą i z a n a r ó d!

Tobie nasze strzedz ołtarze,
I nie puszczać korda z dłoni! —

I stać wiernie przy sztandarze,
Archanioła — i Pogoni!

I z trudami walczyć śmiało,
Chociaż skroń się zleje potem!
I podążać siłą całą,
Za białego orła lotem!

Kraków 1869.

FRAGMENT.

„Bądź pozdrowiona! bądź błogosławiona
Święta boleści co mi piersi krwawisz.“
J. I. Kraszewski.

Było to dziewczę hoże, uśmiechnięte,
Na poły ziemskie, a na poły święte.
Z jasnemi sploty warkoczów u czoła,
I z rozwianemi skrzydłami anioła!
A tak się światu uśmiechało słodko,
Tak się wdzięczyło jak róża do słońca! —

Zgasłaś już, zgasłaś serdeczna pieszczotko!
Zaszło słoneczko w mrok ciemny bez końca!
A takie pustki w sercu mem po tobie,
Taki chłód w piersiach, jak w sklepionym grobie,
Gdzie tylko wicher prochami pomiata,
I skrzętny pająk sieć swoją zaplata.

Pomnę, w noc cichą, w pogodną noc czarów
Na szmaragdowym łąk naszych kobiercu,
Słowik pieśń rzewną dzwonił śród konarów,
A tyś śpiewała o lubym, o sercu —!

Pamiętasz droga? w twych złotych warkoczach,
Różyczka wtedy kwitnęła purpurą,
Łezka w niebieskich perliła się oczach,
I białe czoło zasnuło się chmurą!

Jam patrzył w ciebie — jak w niebios zjawisko!
I obie dłonie podniosłem do ciebie!

Jak kiedy dziecię nad swoją kołyską,
Ujrzy anioła i marzy o niebie!

Ale dość wspomnień, wybaczcie najszczersi!
Mniej dla was nudów a dla mnie boleści —
Na cóż na nowo krwawić sobie piersi?
Dość, dość już wspomnień — wracam do powieści.

I.

Cudnaż to była, cudna okolica!
Mała polanka rozkwitła wśród gaju;
Nocą srebrzona blaskami księżyca,
Co się w kryształnym przeglądał ruczaju;
Rankiem, oblana purpury odbrzaskiem,
Jakby rusałka wybiegła z wód cieni,
I pereł rosy świeciła się blaskiem,
I złotym wieńcem ognistych promieni!
Zmrokiem, gdy pieśni ptaszej zamilkły gwary,
Jakby ją nocne trwożyły widziadła,
We mgły tajemnej osłonioną czary,
Pod cienie jodeł — jak gołąb' przypadła!

Tuż biały dworek, dumne wznosił czoło,
Mchem siwiejącym okryte w około.
A przed nim ganek na słupach oparty,
Stół i dwie ławy, i daszek odarty
Z gontów, świeciły — jednak zawsze czyste,
Gdy się w nich słonko przejrzało złociste.

W jarze wrzał potok, a nad jego brzegiem,
Płaczące brzozy przyklękły szeregiem,
I ciche łkania i skargi swe wdowie,
Szeptały nurtom, niebu i dąbrowie.

W polu szerokiem widniał dąb prastary,
Świadek nie jednej niebios, ziemi burzy —

Strzaskane gromem podnosił konary,
A choć kaleka, jeszcze wiernie służy,
I losy sioła w mądrem czole waży —
I ziemi swojej jak dobry syn straży.
Na szczycie jego rozrosłym jak strzecha,
Widniało gniazdo naszego Wojciecha,
Co ojcowskiego nie szczędząc kłopotu,
Swywolną dziatwę przyuczał do lotu.

. . . .

Słychać gwar ptasząt i śpiewy i dźwięki,
I słodkie tony serdecznej piosenki,
I głośne śmiechy wiejskiej krasawicy.
I srebrny dzwonek z pobliskiej kaplicy.

Płyną piosenki, a dalej, a skorzej,
Bo już zapada w pomrokę dzień Boży;
A toż żal dziatwie i pieśni i śmiechu,
Świętej modlitwy — i ziemskiego grzechu.

Więc gwarno, szumno, radują się, śmieją,
Raźne parobki hukają po rosie,
Krasne czapeczki na głowach się chwieją!
A oczy dziewcząt jak gwiazdeczki skrzą się.
Skończona praca! — więc żniwiarze pilni
W modlitwie kornej zdają sprawę Panu:
A biada onym, co padłszy bezsilni,
Z niedożętego poschodzili łanu! —

II.

Po pracy dziennéj spoczął lud robotni,
Z pieśnią na ustach utonął w snu fali —
Ja z moją białą, oboje samotni,
Czuwając razem, błądziliśmy w dali.

A gdym w jej oczy poglądał błękitne,
Serce nieznanem uczuciem mi drżało,
I czyny wielkie, i marzenia szczytne,
Wszystkom budował — wszystko się rozwiało! —

Luba! mówiłem: do ciebie! do ciebie!
Rwałem się łkając jak stęsknione dziecię!
Tyś wszystkiem dla mnie najświętszem na niebie!
Tyś wszystkiem dla mnie najdroższem na świecie!
O! powiedz słówko! tylko jedno słowo!
Patrz, serce w piersiach od bólu zamiera,
O! powiedz luba! odżyję na nowo!
To jedno słówko, co niebo otwiera! —

Skłoniła główkę — spojrzała — pobladła —
Łezka perlista na lice jej spadła,
A takim wstydem twarz się jej płoniła,
Że aż ją w obie dłonie utuliła! .

Więc w zachwyceniu padłem na kolana,
Przed tą przeczystą — a taką wstydliwą!
Ona się do mnie jak lilja złamana
Chyliła biedna — i padła w pół żywą!

Cóż powiem więcej? — Ach! któż ukochani!
Któż z nas w młodości nie był w tym Edenie? —
Dziś u bram szczęścia błądzimy jak cienie,
A w Raju — w Raju znów inni wybrani!
I wierzyć temu co mówią oszczerce:
Miłość starzeje! Ot! słów marnych szkoda!
Bóg dał ludzkości wiecznie młode serce,
A więc i młość wiecznie będzie młoda!

III.

We dworku pusto i głucho i czarno,
Śmiech tylko sowy z za węgłów dolata,
Straszne widziadła przed oczy się garną,
Z księżycowego pozbiegane świata.
Więc blade cienie, i upiory wstrętne,
I strzygi — jęcząc przed okiem migają;
Tataj rusałki wdzięczą się ponętne,
Tam, dziwożony w lesie chichotają.

Lecz anim pragnął z rusałką wesela,
Anim przed strzygą nie zadrżał ni razu,
Szkaplerz mię bronił i krzyż Zbawiciela,
I welon z Marji odpięty obrazu.

Lecz czemuż w dworku tak pusto i smutno?
W dworku, co dawniej brzmiał pieśnią i gwarem?
Dziś, jak zaklęty tajemniczym czarem,
Nagle padł w przepaść i ciszę pokutną?

Czemuż to serce, co dawniej do świata,
Ptakiem mi z piersi rwało się namiętnej,
Jak pogrzebowy dzisiaj dzwon kołata,
Jękiem boleści i rozpaczy smętnej?

Nie przerywajcie tej ciszy grobowej! —
Gołąbka moja złożona do truny!
Warkocz ubrała w listek kalinowy,
Usteczka w uśmiech, a serce w całuny!

A po jej śmierci taki byłem biedny,
Żem nawet nie mógł i łzy wylać jednej! —
I czułem, czułem dni kilka bez przerwy,
Jak wszystkie we mnie zrywały się nerwy!
I już myślałem, że krew mię zabije,
Że pójdę za nią — a ja jeszcze żyję! —

* * *

Litości Panie! Litości o! Boże!
Do furty Twojej kołaczę zbolały!
Wszak z majestatu wyrzekłeś Twej chwały:
„Kto zakołata — temu ja otworzę!"

Warszawa 1868.

MELODJE BIBLIJNE.

JUDITH.

I rzekła Judith z daleka straży murów: otwórzcie bramy, bo z nami jest Bóg, który uczynił moc w Izraelu.

Księgi Judith XIII.—13.

Uderzcie w kotły na znak wesela!
I niech odpoczną rycerze.
Bo oto wielki Bóg Izraela,
Zawiązał z ludem przymierze.

Wróg popustoszył nasze dzielnice,
I pola zbożem obfite.
Ale Pan natchnął swą służebnicę,
I z wielu, wybrał — Juditę!

Odwagę męża zatlił w jej łonie,
Lica rozjaśnił natchnieniem,
Wsparł ją swym duchem — i przez jej dłonie
Własnym zmógł wroga ramieniem.

On jeden bowiem, skoro zapragnie,
Moc swą rozsławi po świecie.
Przeto wróg teraz korny jak jagnię,
Do stóp legł słabej kobiecie.

Wczoraj tak jeszcze straszny i groźny,
Jak rzeka falą wezbrana:
A jutro próżno trąby oboźnej
Głos, będzie budzić hetmana!

Dłoń jego więcej po miecz nie sięgnie,
Ni stopa z łoża się zwlecze.
W piersiach żołdactwa strach się zalęgnie,
Co gnać go będzie jak miecze.

Chwalmyż więc Pana, chwalmy przykładnie,
Kadzidłem czcijmy i słowy,
On dumne wrogi u stóp swych kładnie:
Bo wielkie imię Jehowy!

Nancy, 1869 r.

MOJŻESZ.

I pragnął tam lud dla niedostatku wody i szemrał przeciw Mojżeszowi mówiąc: czemuś nas wywiódł z Egiptu, abyś pomorzył nas i dzieci nasze i bydło pragnieniem?

Exodus XVII. — 3.

Drogą pokuty, drogą boleści,
Lud Izraela szedł lat czterdzieści,
Jak proch w pustyni rozwiany —
A w doli strasznej, w doli tułaczej,
Wołał bolejąc: „Mojżeszu! raczej
Wiedź nas po dawne kajdany!

Wiedź nas po dawne pęta i młoty!
My zginiem tutaj, z żaru, spiekoty,
Z pragnienia zginiem i głodu.
Dzień każdy wyje nam jękiem skonu,
Bóg ogłuchł — żaliż do jego tronu
Doleci skarga narodu!

Pragnienie pali, a w piersiach matek,
Żar już pokarmu wypiekł ostatek,
Krwi, krwi, nie stało już w żyłach.
Patrz! tam niemowlę w bólach się wije,
Pieni się, kona — ach! już nie żyje —
I my padamy na siłach.

Padają żony i córy pilne,
I syny nasze by dęby silne,
Jak ścięte padają kłody.
Już tylko w koło wzrok wodzim dziki,
Głos w piersiach zamarł, przyschły języki,
Wody! ach wody! ach wody!

Oblicza nasze trąd szpeci blady,
Piersi na sztuki rwą żywcem gady,
Bielmo osiadło na oku —
W proch nasze Bogi starłeś bezbożny,
Pokaż nam teraz gdzie twój Wielmożny,
Gdzie Bóg twój Wielki? — proroku!“

I powstał Mojżesz i rzekł: „O ludu!
Nie kuś Jehowy, nie wołaj cudu,
Bo cudem często skaranie!
Pan cię doświadczał dając niedolę,
Przeto cię trądem posiał na czole,
A węże włożył w posłanie!

Pragnieniem palił i wędził głodem,
Bo chciał cię wielkim widzieć narodem,
Chciał abyś przerósł cierpienia:
Ale żeś szemrał wbrew Jego woli,
Przeto ci Pan mój wejść nie dozwoli
Do ziemi twojej — wytchnienia.

Lecz ucisz jęki, bo Pan wspaniały
Wodę ci kazał wywieść ze skały,
I z łoża powstać bez szkody!“
Jeszcze nie skończył, gdy na Mojżesza
Trzykroć niesforna huknęła rzesza:
„Wody! ach wody! ach wody!“

Paryż, 1869 r.

POKUTNI.

Ale gdzie się kolwiek chcieli obrócić, tam ręka Pańska była nad nimi, jako powiedział i przysiągł im, i byli bardzo udręczeni.

Judices II. — 15.

Na Izraela cierpiący lud,
Klęska wciąż bije za klęską,
Zniszczone łany, niewola, głód,
Siłą go gniotą nadmęską.

Schylone czoła uznoił pot,
Twarze by chusty wybladły —
Myśl już straciła sokoli lot,
Ramiona na dół opadły.

Snują się męże blade jak cień,
Do mężów dziatwa się garnie.
Tak noc zapada, tak wschodzi dzień,
I nowe wschodzą męczarnie.

Wróg wygnał biednych z ich własnych leż,
Popalił domy, namioty,
W jaskiniach chroni się dziki zwierz,
Gdzież im schronienie wśród słoty.

Na polach dawno nie chodzi pług,
W oczach zda czytać się zguba.
Gdzież ów potężny, ów wielki Bóg?
Bóg Abrahama, Jakuba?

Przedniejsi z ludu padli na twarz,
I w prochy nurzają czoła,
I tak zostali jak przednia straż,
Którą do boku Pan woła.

I wzniosł się okrzyk jak gromu huk,
Straszny jak potwór stugłowy,
Stawiajmy bogi — bo gdzież nasz Bóg?
Nie masz już, nie ma Jehowy!

Paryż, d. 29 Września 1869 r.

PRZEKŁADY.

FENIKS.
(Z HEINEGO.)

Od zachodu ptaszę leci,
Ku wschodowi szybkim lotem,
Tam gdzie świat się wiecznie kwieci,
Gdzie się w słońcu kąpie złotem.
Kędy palma nad strumieniem,
Nad kryształnym, cień rozwiewa,
Gdzie zefirek lekkiem tchnieniem,
Igra z bladych gwiazd promieniem,
Zawisł, i tak śpiewa:

„Ona go kocha! — ptaszyna głosi —
I w sercu swojem, w serduszku małem,
Bezwiednie obraz jego wciąż nosi,
Bo on jej szczęściem, ach! szczęściem całem!
On w marach sennych przed jej oczami
Zjawia się zawsze, a ona dłonie
Całuje jego, i zrasza łzami —
A imię jego w ustach jej płonie!
I z tem imieniem, w pół rozmarzona,
Skłania swą główkę na sen uroczy;
Z niem się przebudza, a przelękniona,
Przeciera jasne, przecudne oczy!
I nie przestaje nucić ptaszyna:
Ona go kocha! śliczna dziewczyna!“

Na pokładzie okrętu, o maszt wsparłszy głowę,
Nie mogłem się nasłuchać tych słów czarujących;
Przedemną wrzały fale ciemno lazurowe,
Jak tabun dzikich koni, srebrną grzywą lśniących!

Do łabędzi podobne przed oczyma memi,
Snuły się cicho statki z żaglami śnieżnemi;
Statki Holendrów, panów północnego morza —
Nademną słońce siało promieniem swem złotem.
I białe chmurki lazur pruły szybkim lotem,
I wieczna jaśniała zorza!

A wonna róża kwitnąca płomiennie,
W falach się morskich kąpiąca codziennie,
Niebo i morze, nawet serce moje,
Szeptały zgodnie tych słów tylko dwoje:
„Kocha go! — Ona go kocha!“

U STUDNI.

(Z NERUDY.)

U studzienki dziewczę stoi,
Ciche — jako szmer strumienia,
Blade — jako lilji czoło.
A tam w górze w białej zbroi,
Miesiąc wybiegł na sklepienia,
A w krąg niego — jasne koło.

„Stara matka mi mówiła,
Że z kropelki wód maleńkiej,
Dzieci rodzą się na świecie —
A więc dobrzem uczyniła,
Że schowałam do studzienki,
Moje biedne, małe dziecię!“

REZYGNACYA.

(Z SCHILLERA.)

I ja w Arkadji byłem w dniach zarania!
I mnie, w kołysce nad czołem —
Przyroda sojusz przysięgła zbratania —
I ja w Arkadji byłem w dniach zarania —
Choć nic stąd — prócz łez nie wziąłem!

Raz tylko wiosna kwieciem życie ściele!
Dni moich kwiaty opadły —
I Bóg milczenia, płaczcie przyjaciele!
Pochodnię moją pogrzebał w popiele,
Jasne dni moje pobladły.

Wieczności straszna! na twoim pomoście
Stawam — w pomroków powiciu —
O! weź te wróżby! coś słała mi w goście!
Jać je powracam nietknięte, w całości,
Jam szczęścia nie zaznał w życiu!

Przed tron twój niosę mą krzywdę i żale,
Sprawiedliwości bogini!
Na ziemi naszej mówią ku twej chwale,
Że spraw ludzkości dzierżąc w ręku szalę,
Tyś wierna prawom — sędzini!

Tu na nędzników mówią że grom zleci! —
Cnota zabłyśnie jak słońce —
Tajniki serca wszechwiedza rozświeci
Że będą jasno czytały w nich — dzieci!
I tu policzą cierpiące!

Tutaj pociecha wygnańcom rozlana,
Tu koniec wszelkiej boleści! —
I córa bogów — u was prawdą zwana,
Wielu tak straszna, a mału tak znana,
Kres drogi mojej obwieści!

„Snów twych — w wieczności nastąpi ziszczenie!
Lecz oddaj młodość mi swoją;
Tylko nagrody wziąwszy zapewnienie —“
Jam z piersi wydarł młodości promienie,
I młodość oddałem moją! —

„Oddaj mi Laurę! czystości gołębiej,
Którąś ukochał z zapałem!
Za grobem spłacę ból, co dziś cię gnębi! —“
Jam serce rozdarł — i wyrwał ją z głębi,
I płacząc głośno — oddałem!

W tem śmiech, co duszę rani nakształt grotów,
Zabrzmiał szyderskim chichotem.
„Więc uwierzyłeś? na zdradę bądź gotów!
Zdradę kłamczyni, służebnej despotów,
I giń — z marzeniem twem złotem!“

Jak roju wężów syk szedł coraz dalej:
„Przeszłości strasząsz cię mary?
Czem są twe bogi, które ludzkość chwali?
Te zbawce świata — na rozumu szali?
Na strach zmyślone — lub czary?“

„Czemże jest przyszłość, co śni w grobów łonie?
Ułudna wieczności władza?
Oto nicością w dogmatu osłonie,
Bojaźnią, w własnem wymarzoną łonie,
Którą strach w potwór przeradza!“

„Mamidłem pustyń które życiem nęci —
  Mumją zastygłą z przeszłości —
Z balsamem pociech, w grobie niepamięci
Pod straż milczenia złożoną — pieczęci!
  To sen twej nieśmiertelności!

„Za tę nadzieję, wśród gruzów i ciemnic,
  Oddałeś pewność twych losów!
Sześćdziesiąt wieków strzeże tych tajemnic,
A czyż kto wrócił z zagrobowych ciemnic,
  I odkrył tajnię niebiosów?“

Widziałem wiosno, jak do twego brzegu
  Anioł zniszczenia domierzył —
Jak wszystko zwarzył w szalonym swym biegu;
Lecz żaden z trupów nie powstał szeregu —!
  Wtedym w te słowa uwierzył. —

Teraz z miłości — z przyjaźni wyzuty,
  Stawam przed tobą królowo —
Do kropli czarę spełniłem cykuty,
Pewny, że wiek mój goryczą zatruty
  Tu znajdzie nagrody słowo!

„Równą miłością mą drożynę dzielę,“
  Ozwał się genjusz z ukrycia.
Dwoma kwiatami to życie się ściele,
Niech każdy zważa co bierze w udziele,
  Nadzieję? — czy kwiat użycia?

„Do których jeden z tych kwiatów się śmieje,
  Niech drugi wolny zostawią!
Szalej! kto ufać niezdolny! — Nadzieję
Zostaw wierzącym! — A ludzkości dzieje
  Sąd ci ostatni objawią!“

„Tyś ufał, więc ci oddana zapłata;
W tem twa nagroda — w czem praca!
Zapytaj o to wszystkich mędrców świata:
Co jedna chwila w otchłanie pomiata,
To wieczność cała nie wraca!“

Poznań, 4. II. 70. r.

Z HEINEGO.

Ocean perły ma swoje,
Niebo koronę z gwiazd lśniącą;
Lecz serce — o, serce moje,
Miłość ma w głębi gorącą.

Wielkiem jest niebo i morze,
Lecz większą miłość w mem łonie,
I piękniej stokroć nad zorze,
I perły — miłość ma płonie.

O! dziewczę drobne i hoże,
Do serca mego pójdź w gości!
Bo pierś ma, niebo i morze,
Jednem tchną czarem — miłości.

Z HEINEGO.

Jesteś jak kwiatek wiośniany,
Tak piękna, świeża i miła!
Spoglądam na cię stroskany,
Z tęsknotą co pierś spowiła —

I radbym cię błogosławił,
Modląc się Bogu gorąco:
Aby cię wiecznie zostawił
Tak piękną, jasną — śmiejącą!

Z PETÖFIEGO,

Byłem artystą! A więc mi na scenie
Najpierwszą oddano rolę!
Na wstępie śmiać się musiałem szalenie,
Jak gdyby płoche pacholę.

Śmiałem się, śmiałem serdecznie w mej roli
Skoro śmiech ludzi tak bawi:
Pewny, że serce za chwilę swywoli,
Dość mi łez jeszcze zostawi! —

Z PETÖFIEGO.

Ty byłaś moim kwiatkiem wiośnianym,
Zwiędłaś — a z tobą dni moje;
Byłaś promykiem słonka świetlanym,
Zgasłaś — jak blasków tych zdroje!

Byłaś fantazją moją skrzydlatą!
Dziś lot mój słabieć zaczyna —
Byłaś krwi mojej ciepłem — a za to
Pierś moją dzisiaj mróz ścina!

Z W. HUGO.

Dziecię! gdybym był królem, to pod twoje nogi,
Położyłbym koronę, na klęczkach — lud mnogi,
I rydwan tryumfalny, i królestwo całe,
I flotę śnieżnych żagli i morze wspaniałe,
Za jedno twoje spojrzenie!

Dziecię! gdybym był Bogiem, to dałbym dla ciebie,
I demonów w przepaściach i aniołów w niebie,
I bezmiary wieczności i chaosu cienie,
I niebiosa i gwiazdy, światło i promienie,
Za jeden całus twój — dziecię!

1867.

ZMROKIEM
(Z HALSZKI KRASNOHORSKIEJ).

Zniknął dzionek w gór osłonie,
Rosa pada na stokrocie;
Patrz! na niebie złote dłonie,
Rozsiewają gwiazdek krocie!

Spokój w niebie — — Bol, tęsknotę,
Sen w ramiona swe oplata;
Nić miłości ręce złote,
Dla całego przędą świata.

I nikt ciszy tej nie zmąca:
Raj — po ziemskiej śnim katuszy!
Słyszysz, jak dłoń Boża trąca,
O napięte struny duszy!

DOBRA NOC
(Z H. KRASNOHORSKIEJ).

Śpijcie łąki, śpijcie gaje,
Noc w swe skrzydła bierze was!
Gwiadz nad wami krocie wstaje,
Śpijcie łąki — czas już, czas!

Śpijcie róże! śpijcie kwiaty,
Rosę sieje Boża dłoń.
Na pościeli swej, bogatej,
Krasna różo główkę skłoń!

Śpijcie wichry! — Ale burza
Nie przestaje we śnie wyć!
Miesiąc cicho z chmur wynurza
Drżącą blasków swoich nić!

Śpij serduszko! — Lecz daremnie!
Uśpić je, nie ludzka moc —
Serce smutno puka we wnie,
Nie dla niego „dobra noc!“

ECHO
(Z PUSZKINA).

Czy wyje zwierz w zapadłym lesie,
Czy rogi grzmią, czy burza rwie się,
Czy dziewic śpiew słychać z za gór:
Dźwięki najcichsze
W odgłosie twym znajdują wtór,
I odzew w wichrze!

Piorunom — odgłos szlesz ty wdal,
Poświstom burzy, grzmotom fal,
Pastuszkom fletni zwracasz głos,
Co z rosą, leci!
Bez echa sam. — Nie takiż los
I wasz? — poeci!

SERENADA
(Z PUSZKINA).

Na nocy gwar,
Tchnie zefir czar,
Wśród fal,
Mknie w dal!
Gwadalkwiwir.
Miesiąc w złotym blasku tonie,
Cyt, gitary struny drżą —
Młoda donna na balkonie,
Lekko wsparła postać swą.
Na nocy gwar,
Tchnie zefir czar,
Wśród fal,
Mknie w dal,
Gwadalkwiwir!
O! aniele mój skrzydlaty,
Zrzuć mantylę, gwiazdką spłyń!
Przez żelazne ganku kraty,
Białą rączką na mnie skiń.
Na nocy gwar,
Tchnie zefir czar
Wśród fal,
Mknie w dal,
Gwadalkwiwir.

TALIZMAN
(Z PUSZKINA).

Tam gdzie morze pianą miota,
O milczący wiecznie głaz,
Gdzie miesiąca tarcza złota,
W ciepłem świetle kąpie nas,
Gdzie haremu wabią łoża,
W których Turczyn błogo śni:
Tam hurysa cudna, hoża,
Ten talizman dała mi.

I z twarzyczką uśmiechniętą
Tak prosiła, „chroń go, chroń!
W nim moc czarów ci zaklętą
Kochająca daje dłoń.
Od złej śmierci, od mogiły,
Gdy huragan zerwie się,
On twej skroni — o mój miły,
Nie ustrzeże wprawdzie, nie!

Ni skarbami on Iranu
Nie zasypie twoich dróg,
Ni wyznawców alkoranu
Nie przywiedzie do twych nóg —
I na słodkie brata łono,
Z oddalonych, cudzych stron,
Duszę twoją utęsknioną,
Nie jest w stanie przenieść on!

Lecz gdy zalotnica pusta,
  Wzrokiem swym urzecze cię,
Lub gdy ust twych drugie usta,
  Bez miłości dotkną się —
O! mój luby! od cierpienia,
  Od piekielnych serca kar,
Od zmienności — zapomnienia,
  Talizmanem jest mój dar!“

ZIMOWY WIECZÓR
(Z PUSZKINA).

Zima śnieżne płaty miecie,
Mgłami kręcąc wzdłuż i wszerz,
To zakwili niby dziecię,
To jak dziki ryknie zwierz.
To po dachach z całej mocy,
Kręgiem, rzuci się jak wąż:
To jak pątnik o północy,
Do mych okien puka wciąż —

A mój domek — żal się Boże,
Taki smutny, mroczny tak —
Wszystko dziwne o tej porze,
I mej niańce czegoś brak.
Mów gołąbko, czy szalona
Burza, sercu każe drżyć? —
Coś tak zmilkła u wrzeciona,
Machinalnie kręcąc nić?

Ej! wypijem matko stara,
Na młodości naszej cześć —
Ej! wypijem — gdzie jest czara,
Byle biedne serce zwieść.
Ty ukoisz je piosneczką,
Jak bywało nie raz już —
Powiedz, jak tam z tą dzieweczką,
Co z koszykiem poszła róż?*)

*) z piosnki gminnej.

Wicher śnieżne płaty miecie,
Mgłami kręcąc wzdłuż, i wszerz,
To zakwili niby dziecię,
To jak dziki ryknie zwierz —
Ej! wypijem matko stara,
Byle biednę serce zwieść —
Ej, wypijem — gdzie jest czara:
„Na minionej wiosny cześć!“

BURZA
Z NEKRASOWA.

Długo się dała prosić o całus kochanka,
Aż się wreszcie zgodziła: — W ogrodzie altanka
Jest bluszczem opleciona, o zmroku! — dość na tem!
Powie do mnie z uśmiechem. Wyglądałem zatem
Niecierpliwie tej chwili; krew młoda nie woda!
Ale niebo się chmurzy, niedawno pogoda
Tak uroczo jaśniała, a teraz już pocznie
Grom huczeć, straszna burza zbliża się widocznie.
Nachmurzyłem brwie obie i zakląłem w duszy!
Już dziś chyba sąsiadka z domu nie wyruszy.
Oh! bo ona trwożliwa jak gołąbka mała,
A na niebie się straszna burza rozszalała.
Chyba że mię już kocha! — Ej, marzyć daremno
Deszcz leje jakby z cebra, na dworze tak ciemno!
Więc smutny, bez nadziei otwieram altankę:
O nieba! kogóż widzę? kochankę! kochankę —
Z przemoczonemi nóżki i odzieniem całem!
Ileż ja potem biedy z osuszeniem miałem!
Jednakże, od tej chwili, gdy posłyszę burzę,
Już więcej nie przeklinam i czoła nie chmurzę!

St. Petersburg 1865 r.

PIEŚŃ NAD KOŁYSKĄ.

Z NEKRASOWA.

Śpij nim wstąpisz w innych ślady —
Bajki niosę ci.
Smutno patrzy miesiąc blady
Do kołyski twej.
Zamiast baśni ci uroczej,
Prawdy wzniecę skry;
Ty mi śpij — zamknąwszy oczy:
Bajki niosę ci.

W krąg podają wieść fatalną,
Co razi jak trąd,
Że o sprawę kryminalną,
Ojca pozwał sąd.
Lecz twój ojciec — łotr koronny,
Z sądów wszystkich drwi:
Śpij — dopóki postrach płonny:
Bajki niosę ci.

Wzrośniesz — poznasz co ci w świecie,
Do karjery brak;
Zwiesisz mundur na twym grzbiecie,
Szpadę — władzy znak.
Powiesz: „prawu ja w ofierze
Składam moje dni!“ —
Śpij — ja w przeszłość twoją wierzę,
Bajki, niosę ci.

Podlec — maską urzędniczą,
Twarz przepłonisz swą:
Śpij — ja pójdę tajemniczą
Śledzić drogę twą.
I nawykniesz elastycznie,
Zginać kark bez czci.
Patrz, jak to się składa ślicznie!
Bajki niosę ci!

O miedzianej skroni, bladej
Cichy — że choć wiąż.
Do intratnej się posady,
Doczołgasz jak wąż.
Nie posiejesz, nie zaorzesz,
A plon zbierzesz ty —
Śpij — dopóki kraść nie możesz,
Bajki niosę ci.

Hierarchiczne przejdziesz stopnie,
Mniejsza hańba, srom,
Kraj gwiazdami pierś twą opnie,
Kupisz wielki dom —
A po leciech — syty chwały,
Skończysz twoje dni —
Spij mój urzędniku mały:
Bajki niosę ci.

ŻYWOT POCZCIWEGO CZŁOWIEKA

Z ROSSYJSKIEGO.

Urodziłem się przykładnie —
Z karmazynów wiodę ród!
Co do ojca — Bóg sam zgadnie,
Gdzie on służył, skąd się wiódł?
Bo choć nie bił się z Francuzem,
Nosił krzyż, galonów nić —
Był zdrów, silny — na łbie z guzem:
Jak karmazyn *) winien być.

Był postrachem dla drużyny,
Sług domowych, babskich głów;
Chamów uczył dyscypliny,
Niby sforę gończych psów —
Miał na wszystko pogląd własny;
Winnych — do krwi kazał bić
I nie szczędził ręki własnej,
Jak karmazyn winien być!

Często mu wypadła droga,
Czy to w gości, czy na łów,
Więc mię zdał na wolę Boga:
Rosłem w gronie cieląt, krów!
Półkwaterek piłem duszkiem —
Ucząc się zawczasu żyć,
Uganiałem za fartuszkiem,
Jak karmazyn winien być!

*) W oryginale „stołbowoj“ tyle co nasz karmazyn.

Późne się dowiedzą wnuki,
I powezmą dla mnie cześć.
„Elementarz“ zdarty w sztuki,
Oto mojej wiedzy treść.
Dłoń wprawiałem na sług grzbiecie,
I nie dałem bitym wyć —
I tak sobie rosłem w świecie,
Jak karmazyn winien żyć.

Ojciec mój, mając na względzie
Przyszłość syna — dalszy los:
Kazał służyć mi w urzędzie,
I zarabiać sławy trzos.
W mych papierach było czysto —
Co w nich zresztą było ryć?
I zostałem kancelistą,
Jak karmazyn winien być!

Nie wiedziałem co gorycze,
Nie goniłem sławy czci —
Wyższe władze urzędnicze
Niemal bóstwem były mi.
Przyuczałem się z uśmiechem,
Hańbę i obrazę pić,
Byłem wyższej władzy echem,
Jak karmazyn winien być.

Wrogiem byłem liberałów —
Panom tysiąc płatał sztuk —
Nie cierpiałem komunałów,
Które szczodrze sieje druk.
Nie trwoniłem na to groszy,
Aby wiedzą z książki lśnić!
A mnie na co tych roskoszy?
Tak karmazyn winien żyć.

I tak życie ułożyłem:
Nędzy mię nie wzruszał głos!
W wieczór u mnie w gronie miłem,
Szedł faraon albo sztos.
A co z biedą — precz łzy babia!
Nędzacz, a chce dłużej żyć,
Niech pracuje, niech zarabia —!
Tak karmazyn winien być.

Żonę mi z posagiem grubym
Mój naczelnik gwałtem dał.
On ją jeszcze znał przed ślubem,
Dawne dla niej względy miał —
Wziąłem za nią sumkę sporą!
Toż to, myślę, zacznę tyć! —
Inni gorsze nieraz biorą —
Tak karmazyn winien żyć.

A lubiła ona bale,
I strój sukien wielkich dam!
Stroiła się jak żurnale —
Co za kłopot, mówię wam!
Za tem wszystkiem, w jedną chwilkę,
Zaczął się romansik kryć.
Et! plunąłem ną to tylko!
Tak karmazyn winien żyć.

Praw przestrzegacz byłem srogi,
Ciąglem się w pokłonach chwiał —
Możnym słałem się pod nogi,
Znałem konfidencji dział.
Choć bez wielkich wiadomości,
Ominąłem intryg sieć:
Trzy nabyłem posiadłości!
Tak karmazyn winien żyć.

Godność we mnie była taka,
(Już to z urodzenia snadź)
Mój podwładny, jak sobaka
Przy mnie w progu musiał stać.
No! a niechbym choć w półcieniu
Dostrzegł, że śmie bunty kryć,
Jak pies zginął by w więzieniu —!
Tak karmazyn winien żyć!

Dzieci moje, bić pokłony
Przyuczałem z młodych lat,
I wpływowe czcić persony,
I słać sobie drogę w świat.
Za to spadły ze mnie troski —
Mogę sobie błogo śnić,
Bo spłaciłem dług ojcowski —
Tak karmazyn winien być!

Protekcyjką możnych wsparty,
Niemal biegłem tam dzień w dzień;
Na przedrwinki ich i żarty,
Głuchy byłem jako pień.
Pozwalałem przy pieczeni,
Żartem się niewinnym lżyć —
Za to każdy mię z nich ceni!
Tak karmazyn winien żyć!

Nieraz prawda, na wypłaty,
Czekał biedak cały rok —
Jam brał wzór z arystokraty,
Nie lubiłem płacić w skok.
Za to każdy dług karciany,
Święcie zawsze szedłem kryć!
Punkt honoru — nie tumany!
Tak karmazyn winien żyć!

Zdartą z wdowy i sieroty,
Moją kiesę przyjął bank —
Za pieniężne me obroty
Późne lata złożą dank.
Wzniosłem pałac okazały,
Przy królewskim mógłby szklić!
I dożyłem kresu chwały
Jak karmazyn winien żyć!

Wreszciem skończył — dziatek grono
Opłakało ojca zgon.
Sześciu końmi mię ciągniono,
I w największy bito dzwon.
A w tych dniach będzie w gazecie:
„Wdowo — przestań boleść kryć —
Płacz sieroto — biedne dziecię,
Wasz dobrodziej przestał żyć!“

POEZJE MNIEJSZE.

TYM CO TAK MÓWIĄ.

Poezja gaśnie — wy tak mówicie,
  Bo któż poświęci się dla niej,
Kto jej ołtarzom poślubi życie —
  Gdzie dziś poezji kapłani?

Kto w tym zamęcie słucha jej głosu,
  Kto w sercach echo obudzi?
Bóg światło wywiódł z pośród chaosu,
  A pieśń — to światło da ludzi!

Świat na złoconym swoim barłogu
  Zaparł się serca i ducha —
O mistrze! pieśń swą odnieście Bogu,
  Bo świat dziś pieśni nie słucha.

Poezja gaśnie! — o niechaj spłonie
  Raczej, jak wschodnich róż krasa,
Nim ją nikczemny szał wasz owionie,
  Zanim się treścią rozpasa.

Niech zgaśnie raczej, jak mdłe uśmiechy
  Na twarzy na wpół umarłej,
Zanim ją wasze stłumią oddechy,
  Nim pokarlicie ją — karły!

Niech skona raczej, jak nędzarz w progu,
  Nim blask przygaśnie jej ducha,
O mistrze! pieśń swą odnieście Bogu,
  Bo świat dziś pieśni nie słucha.

W GORACH.

Na górach Bóg mieszka.
Przysłowie góralskie.

O Tatry moje! o rodzinne Tatry,
Olbrzymie kształtem, powagą wspaniałe,
W dolinach waszych rozrzucone szatry,
Cicho przysiadły jak gołąbki białe.
Podnóża wasze usłane zielenią,
W czystym strumieni myją się kryształe,
Kaskadą wody na szczytach się pienią,
W granitów łoża strącając swe fale. —
Wierzchołki wasze w skrzącym diademie
Poważnie patrzą na ludy i czasy,
Na barkach niebios unosicie brzemię,
Góry! zamierzchłych wy dziejów Atlasy. —

O jakże cudnie, gdy wśród waszych szczytów,
Wśród nieba, nakształt królewskiej opończy,
Tęcza zarzuci łuk złoty z błękitów,
I jeden cypel z drugim szczytem złączy.
To wtenczas widzę, jak niebiescy goście,
Z pieśnią nadziei i słowy słodkiemi,
Po siedmiobarwnym tym idąc pomoście,
Radosne wieści niosą z nieba — ziemi.
Lub orzeł czasem przeleci tym szlakiem
I ciszę skrzydeł zamąci szelestem,

Ale ja wyżej gnam jeszcze za ptakiem
I zdaje mi się że sam orłem jestem.
I orlim wzrokiem myśl moja się waży
W tajemnic Bożych sięgnąć wielkie plany,
I zdaje mi się że Stwórca na straży
W przedwrociu niebios stawił te Tytany.
Że ich wspaniałe szczyty nakształt tronu
Bożego, piętno noszą jakieś Boże:
I widzę Pana wśród chwały Syonu,
Widzę oblicze Jego na Taborze.
Widzę Go jeszcze wśród piorunów węży,
Syna — i lśniącą w błyskawicznem złocie,
I raz ostatni w pośród zbrojnych męży
Widzę, gdy głowę kłoni na Golgocie.

I oko moje błądzi po gór szczytach,
Rade odegnać z mej duszy tęsknotę.
I nie wiem czemu krzyż widzę w błękitach,
A całe Tatry — jak jedną Golgotę. —

Zürich, d. 23 Sierpnia 1869 r.

NA DZISIEJSZĄ CHWILĘ.

Dość już łez tych dziecięcych, dość krwi próżno przelanej,
Dość nadziei, porywów rozpaczy!
Dość, tych marzeń szalonych, że od Boga wybrany
Naród z kajdan uwolnić Bóg raczy.
Czyż te lata niedoli, czyż wiek ciężkiej pokuty
Zmysły nasze do tyla zaćmiły,
Że nie pojmiem, iż naród z praw człowieka wyzuty,
Równie Bogu jak ludziom niemiły?

Gdy Izrael, mąż Boży, legł pod nieszczęść brzemieniem,
Nie oglądał się w niebo za cudem,
Lecz proch sypał na skronie, pierś umartwiał włosieniem',
I do trudów hartował się trudem —
I nam dzisiaj nie jęczyć, nie oddawać się Bogu,
Lecz tleć zemsty uczuciem tajonem —
Naród polski nie Jobem ma się zewlec z barłogu,
Ale powstać Dawidem, Samsonem. —
Więc łez łzami nie gonić, i sił we łzach nie trwonić,
I nie wić się w boleściach konania:
Lecz uderzyć o serca, i na naród wciąż dzwonić,
Do ciągłego go wzywać czuwania.
A gdy z dziejów strażnicy dzwon na jutrznię zajęknie,
Wstać jak jeden mąż, ramię z ramieniem:
Biada, komu przed czasem pierś z boleści rozpęknie,
Wolność tylko dla żywych zbawieniem! —

1871.

MODLITWA.

Smutno mi Boże! Nie wiem dla czego,
Same do oczu moich łzy biegą?
I pierś stłumione nadrywa łkanie?
Smutno mi Panie!

Jutro o świcie dzwon się rozbuja,
Uderzy w serca na Alleluja;
Radosnem pieniem zadrży przestworze —
Mnie — smutno Boże.

Panie! Tyś męką swoją krzyżową,
Świat pokalany obmył na nowo.
A dzisiaj w piersiach tyle znów brudu!
O! Panie, cudu!

O cudu, cudu! czyż czekać długo,
Aż krew na nowo pociecze strugą?
Czy aż ofiara krwawa rozbudzi,
Upadłych ludzi?

Panie! my z rzędu tych, co Twe ciernie
Nosili długo — dotrwali wiernie;
Aż kolce onych wpiły się w kości:
Panie! litości!

Już niedowiarki krzyczą przed światem,
Żeś Ty nie ojcem naszym lecz katem!

A my podnosząc pęta zabójcze
Wołamy: Ojcze!

Tyś nas, o Panie, rozdarł na troje —
Jednak nie szemrzem na sądy Twoje!
Bo jak Ty jeden choć w trójosobie,
My jedni w Tobie.

Nowy Izrael wśród życia puszczy,
Ku najgrawaniu rzucony tłuszczy
Idzie pokorny, cichy — bo czuje:
Bóg się zlituje.

Człowieku — Boże — Synu niewieści,
Przez wszystkie Twoje straszne boleści,
Przez Matki Twojej bolesne noże:
Litości — Boże!

Łez nam już brakło — krew tryska z powiek!
I Tyś o Panie cierpiał jak człowiek,
Toć i zrozumiesz ten ból człowieczy
Co nas kaleczy.

A skoro jutro dzwon się rozbuja,
Radosnym hymnem na Alleluja,
Górować będą w akordzie tonów,
Serca miljonów.

W noc Wielko-Sobotnią,
Poznań, 1870 r.

HYMN DO BOGA
W STO LAT NIEWOLI POLSKI.*)

Sto lat niewoli — o Boże nasz,
Krwi, tylu cierpień i tylu łez:
O karz nas Panie za grzechy karz, —
Ale niewoli zbliż kres!

Tyś jeden tylko nad nami Bóg,
Tyś jeden Panem i ojcem nam —
Oto Twe prawa podeptał wróg,
Ty pychę jego złam.

Ileż to razy wierny lud Twój,
Po mściwy oręż wyciągał dłoń —
Wspomnij Grochowa, Raszyna bój,
I Miłosławia błoń.

Gdzie tylko spojrzyć, tam łzy i krew —
Tam niema rospacz, męczeński skon:
O! dozwól, aby ten krwawy siew,
Wolności przyniósł plon.

Ojcze! ty dzieci swych bole znasz,
Boś z niemi bolał i cierpiał sam:
Krwią męczemików ich winy zmarz,
A pychę wrogów złam!

1872.

*) Z muzyką Michała Hertza.

GŁOS Z EMIGRACJI.

Smutno tu barcia, smutno na obczyznie,
W około rozgwar, a w sercu tęsknota,
Myśl nieustanna o matce ojczyznie
Żali się w duszy, błąka jak sierota —
Czasem nadzieja do serca się wśliznie,
I chmurne dumy rozplące, rozmota —
Lecz znów powraca myśl tęskna jak wczora,
Na piersiach siada i dławi jak zmora.

Dla Was bór polski pieśń do walki wtórzy,
Szepcą wam cuda ojczyste pomniki,
Nam tu rozwianym chyba poświst burzy;
Do ucha niesie hymn rozpaczy dziki.
I nigdzie kresu nie widać podróży,
I nigdzie głosu ojczystej muzyki.
Krwawym się znakiem dla nas niebo pali,
I tak idziemy wciąż dalej a dalej —

Gdzie kres podróży? Czyż żołnierz hetmana,
Pyta o drogę gdy idzie na boje?
Nas od lat wielu dłoń prowadzi Pana,
Na walkę straszną z tułactwem, na znoje:
I nieraz dusza omdlewa znękana,
Nieraz w pół drogi upadają woje —
Ale się żaden nie cofnie z żołnierzy,
Bo wierzy w Polskę i w zwycięstwo wierzy!

Paryż, d. 3 Października 1869 r.

TOAST.

IMPROWIZACJA.

Hej! przyjaciele młodzi,
Ilu nas razem jest!
W nas myśl się nowa rodzi,
Z nas przyszłość bierze chrzest.

Bierzmy rzecz na rozumy,
Myślom nie kładźmy tam!
Przyszłość trzymamy w kumy,
Niech zdrowo rośnie nam!

Praca nie będzie marną,
A w życiu pójdzie lżej:
Jeżeli zdrowe ziarno,
W piersi włożymy jej!

Wyrzućmy świat, z kolei
Zmurszałych doktryn, zdrad!
Nowej służmy idei,
Ku gwiazdom pchnijmy świat!

Młodość — to wielka władza,
Druga Ariadny nić:
Świat co rok się odmładza,
My mamyż starzy być?

Hej! przyjaciele młodzi,
Ilu nas tutaj jest!
Idei, co się rodzi,
My życia dajmy chrzest!

DO ORKI.

Do orki bracia, do orki,
Pora czas wskrzesić miniony,
Chudobę wzięły pomorki,
Odłogiem leżą zagony!

Do orki, dzielny mój ludu,
Orz swoje łany prześliczne,
A z potu twego i trudu
Wystrzelą kłosy pszeniczne.

Do orki dziewczę liljowe,
Orz pilnie ściegi na płótnie,
Trza biednym oddać połowę,
Co Bóg dał Tobie rozrzutnie.

Do orki bracia pieśniarze.
Kwiaty rozkwitły już z kiści,
Drży przestwór w ptasząt rozgwarze,
Czyż zasną bracia lutniści?

Do orki ojcze kapłanie,
Miłości weźmij pług z nieba,
Bóg posiał ziarna na łanie,
Jeno podorać potrzeba.

Do orki bracia, do pilnej,
A gdy się chętnie przyłożem,
Może z tej ziemi mogilnej
Ziarno lub szablę wyorzem.

Leszno, d. 29 Paźdz. 1869 r.

DO WINCENTEGO POLA

IMPROWIZACJA

W ODPOWIEDZI NA PRZEMOWĘ JEGO

DO

STRAŻY OCHOTNICZEJ OGNIOWEJ.

Gdy nam Polskę w grób kładziono,
Skargi nad nią wiodąc łzawe,
Twojej straży powierzono
Cześć jej dawną, dawną sławę —

Więc gdy człowiek jęczał wszelki!
Gdy w niemocy drżała dusza,
Tyś nas zbudził Mistrzu wielki,
Pieśni dając nam Janusza.

Tyś tułaczom na pociechę,
Obcym pomiędzy obcemi,
Zdala ojców wskazał strzechę,
I urosła pieśń o ziemi.

Do wątpiących w odkupienie,
Tyś jak kapłan szedł do braci,
Z grobu ś ojców wskrzeszał cienie,
Mohortowej cień postaci!

I dziś twoje słychać pieśnie,
Lecz pierś jęknąć się nie waży —
O cześć wieszczom, co tak cześnie
Jak ty, swojej służą straży.

Wola Justowa pod Krakowem, dnia 8 Maja 1869 r.

POLSKIM MUZOM.

Gdzież wy teraz rozwiane muzy narodowe?
Pierś wam z togi odarto — a z promieni głowę.
Depcą po waszych progach przybysze nieznani,
A świątynią wam obcy kalają kapłani!

Na gruzach waszych bujnie chwast dziki się plemi —
Wygnano was niebianki z ojców naszych ziemi!
Gdzież wam szukać schronienia dla znękanej głowy,
Gdzież wam szukać słuchaczów dla ojczystej mowy?

Na lutni Apolina popękały struny!
Czoło odarte z laurów — zwieńczają piołuny!
Wzrok odwrócił od nieba — bo cóż bogom powie,
Że go z ziemi wyrodni wygnali synowie!

Tam kształtna Terpsychore w klasycznej tunice,
Załamała dłoń białą i zakryła lice,
Któż dzisiaj gonić będzie jej motyle loty,
Zapatrzony na pląsy bezwstydu, sromoty?

Indziej cudna bogini bladem licem świeci,
I okiem zapłakanem spogląda na dzieci,
Krokiem dumnej królowej ustępując z sceny:
Bo już inne się cisną do wrót Melpomeny.

Tu dłonie wyciągając, płomiennemi słowy
Skarży się wam ziomkowie bogini wymowy;

A drużki jej niedoli błagają przed światem
Za pieśnią narodową, za polskim dramatem!

I w krąg tylko płacz słychać i jęki żałosne —
Gdzież te blaski przedświtu, co zwiastują wiosnę?
Gdzież to wzniosłe uczucie, co podnosić każe,
Z zrębów domy ojczyste, a z gruzów ołtarze?

A więc rzucam pieśń moją, niechaj do was płynie,
Niech będzie pierwszą cegłą na nową świątynię,
Niech jak żebrak się czołga od progu do progów!
Aż wybłaga przypytek dla ojczystych bogów!

24 Listopada 1869, w Poznaniu.

TAJEMNICA.

W sercu chowam tajemnicę
Z niemałym kłopotem,
Tak, że nawet i rodzice,
Nie wiedzą nic o tem.

Każdą radość lub łzy moje,
Kwiatkom zwierzyć muszę —
Lecz co teraz, to się boję,
Otwierać im duszę —

Nieraz ptaszkom chęć mię bierze,
Zwierzyć się wśród drzewa:
Lecz dziś ptaszkom już nie wierzę,
Nuż który wyśpiewa.

A ja nie chcę, by kto w świecie,
Dostrzegł to, broń Boże —
Że i ja mam serce przecie,
Które kochać może.

Że i ja mam, wraz z innemi
Oczy jak ciareczki;
By nie tylko patrzyć niemi,
W niebo, na gwiazdeczki!

Że i ja mam tkliwą duszę,
I pierś do kochania —
Że i ja się kochać muszę,
Choć mi mama wzbrania.

NIEWESOŁY KRAKOWIAK.

W pochylonej na wpół chatce krzyżem rozesłana,
Jakaś postać wynędzniała szle modły do Pana.

Krucze włosy potargane miecą się po szyi,
Krwią nabiegły wzrok utwiony w obrazie Maryi.

Pierś złamaną srogim bólem żal wielki nadrywa,
I do taktu kruk zgłodniały pieśń grobową śpiewa.

Jeno tylko jęki słychać i szepty pacierza,
Jeno tylko wicher mroźny o ściany uderza.

Łzę ostatnią wypłakała z oczy biedna matka,
Ból ją pożał — jak żar słońca zbiera rosę z kwiatka.

Nad kołyską się pochyla tuli drżące usta:
Chciała dziecię ucałować — lecz kołyska pusta —

Wenecja, 1869 r.

NOCĄ.

Milczenie. Lilje schyliły kielichy,
Ostatnie ptasząt rozwiało się pienie,
Na senne niebo miesiąc zeszedł cichy,
I całą ziemię zaległo milczenie.

Słucham, ażali w tę ciszę uroczą
Jaki głos na mnie z przestrzeni nie woła?
Lecz gwiazd legjony bez szmeru się toczą —
W milczeniu miesiąc zatacza swe koła.

I jeden tylko w przestrzeniach głos słyszę,
Pełny tajemnic jak nieba przestworze:
Kiedy się modlę w tę wieczorną ciszę —
Błogosławieństwa ciche słowa Boże.

RYTM
NA UROCZYSTOSĆ ODKRYCIA KRÓLEWSKICH SZCZĄTKÓW
KAZIMIERZA WIELKIEGO.

O! wielka, Panie, Twej łaski potęga,
Co naród cały nowym tchnęła duchem!
Z chwilą obecną znów przeszłość się sprzęga,
Nierozerwanym jedności łańcuchem.
Polska swobodna wyciąga ramiona,
By skajdanioną przygarnąć do łona!

Tyś nas, o Panie, rozrzucił jak plewy,
I na szyderstwo skazałeś nas gminu!
A więc my z piersi snuli tęskne śpiewy,
Bo dłoń w niewoli osłabła do czynu!
I w takiej trwodze śniliśmy bez końca,
Nawet o blaski nie błagając słońca!

Bo straszną była nam kajdan sromota,
Straszniejszą trwoga by światło nie padło —
I serce nasze biło nakształt młota,
Tylko żelaza brakło na kowadło —
Tylko Twej łaski czekaliśmy z nieba,
Łaknęli cudu — jak zgłodniały chleba!

Aż się spełniła czara przeznaczenia,
I zmiłowanie Pan ziścił nad ludem!
Bo przyszłość dziejów znów się rozpromienia,
Przyszłość — z przeszłości zaczerpnięta cudem.
Z wiekowych prochów i ciemni grobowej
Światło jutrzenki wybłyska nam nowej!

To co w dziedzietwie zostało z przeszłości,
Co naszą chwałą bylo i puklerzem —
Dziś proch mogilny i garsteczka kości,
Znowu nas łączą braterstwa przymierzem.
Po pięciu wiekach pamięć się odświeża,
Wielkiego w dziejach i czynach Kazimierza!

Więc przed królewskich prochów majestatem,
W proch nasze czoła ehylimy w pokorze!
Niech ta cześć nasza zaświadczy przed światem,
Że to co zmarło jeszcze odżyć może —
Że z owych kości drzemiących w popiele
Wstać jeszcze mogą krzywd naszych mściciele.

1869 w Lipcu.

MŁODEJ POETCE

JASKÓŁCE.

Jaskółko ptaszę, i cóż ja tobie
Dalekiej, obcy przyniosę.
Ja zwiędłe kwiaty zbieram na grobie,
Ty pijesz niebieską rosę.

Jaskółko ptaszę, gdy pierś omdleje,
Cierń stopę zrani nam bosą:
Ty wieść nam wiosnę, wlewaj nadzieję,
Niebieską rzeźwij nas rosą!

Kraków, w Lutym 1869 r.

DO MŁODEGO POETY.

Bez szemrania krzyż swój nieść,
Wzbić się sercem po nad gmin,
Dawną ojców podnieść cześć,
To poezja, ach, to czyn!

Piersią w boju stać za mur,
I nie liczyć bratnich win,
Bronić sławy, matek, cór,
To poezja, ach, to czyn!

Boleść z młodych poznać lat,
Dla Ojczyzny być jak syn.
I miłością objąć świat:
To poezja, ach, to czyn!

Z taką pieśnią wieszczu idź!
W troskach, znoju pierś swą trudź,
Przestań złudne mary śnić,
A do czynów braci budź.

I nie padaj w znoju sam,
Zmartwychwstania pieśni piej.
Bo nie dojdzie niebios bram,
Kto się missji zaparł swej.

Tak nam dzisiaj śpiewać wraz,
A nie chylić w trwodze głów:
Starzy wieszcze! wzywam was,
Na świadectwo moich słów!

DO BRACI WŁOŚCIAN.

Bracia włościanie! z jednego my ziarna,
    Bożym się chlebem łamiemy,
Jedna w nas wiara, jedna ziemia czarna,
    Na której Bogu służemy.

I jednakowa dla nas padła troska,
    I jedna droga zbawienia,
Jedna się za nas Matka Częstochowska
    Modli, za wszystkie cierpienia!

Jednakie serca Bóg w pierś naszą włożył,
    I jednym natchnął je duchem,
I jednakowych dla nas łask przysporzył,
    I jednym okuł łańcuchem.

Czemuż my w waśni żyjemy pospołu
    Ze wzrokiem pełnym zawiści?
Razem do trudów spieszmy i mozołu,
    A Bóg zbawienia czas ziści.

Tylko miłością, wiarą i nadzieją,
    Wskrzesim Ojczyznę kochaną —
Niech się raz jeno te burze rozwieją,
    Co waśnią kontusz z sukmaną!

Pan Bóg wybaczyć dawnym winom raczy,
    Skoro miecz pójdzie przy radle.
Wszak kord szlachecki, jak i pług wieśniaczy,
    Na jednem kute kowadle. —

DO LITWY.

O! cześć ci Litwo! cnót wielkich skarbnico!
O! cześć ci Litwo! na kresach strażnico!
Nieustraszona! — choć przemoc cię smaga,
Wielka potęgą — jak twoja zniewaga!

O! cześć ci Litwo! w męczeństwie twych dziatek!
W rozpaczy ojców! w łzach sierót i matek,
W mękach twych synów i w doli tułaczy,
I w każdym jęku, co piersi krwią znaczy!

Córo Chrystusa! jako Mistrz twój święty
Dotrwał w boleści wielki, nieugięty.
I tyś nie drżała przed żadnem cierpieniem,
Ani mąk własnych zdradzałaś — westchnieniem.

O! cześć ci Litwo! z tym krzyżem z Golgoty,
Cześć ci pochodnio wiary — wśród ciemnoty!
Nie tyle prawdy słońca nam rozświecą
Ile ty Litwo, dziejów przodownico!

O! cześć ci Litwo, z tej pochodni żarem,
Coś niewolniczo nie padła przed carem,
Ale z ufnością świętą i modlitwą,
Szłaś naprzód w przyszłość. — O! cześć tobie Litwo!

POLSKIEMU DZIEWCZĘCIU,
PIOSENKA DLA PANNY W. T.*)

Polskie dziewczę oh! nasze,
Kochające a rzewne,
Szczebiotliwe jak ptaszę,
A jak lilja powiewne.

Niby nie wie o niczem,
Że tak cudne i hoże,
Chociaż jasnem obliczem,
Świeci ludziom jak zorze.

W czynach — święte jak dziécię,
Łzą za łezkę odpłaci,
Kraj swój kocha nad życie,
Życie daje za braci. —

Oczy duże a czarne,
Uśmiech cichy a słodki,
Dzwonią słówka figlarne,
Czarodziejki — szczebiotki.

Co dzień patrzy za wrota,
Co dzień wbiega na płotek:
Czy tam sroczka szczebiota,
Czy nie myje się kotek?

---

*) Z muzyką Romana Połczyńskiego.

Jeśli sroczka, to może
Pan Bóg gości przywiedzie:
A gdy kotek — to — Boże,
Jużciż luby przyjedzie.

I tak życie dziewczęce,
Jak po różach się ściele,
Aż się złączą dwie ręce,
Przy ołtarzu, w kościele.

Poznań, d. 7 Grudnia 1869 r.

W ALBUMIE
PANNY EMILJI***

Jeśli kto mowę swoją stroi cudnie
W czary i kwiat;
A w sercu zdradę ukrywa obłudnie,
Jak nędzny gad —
Jeśli kto krzyżem żegna się w kościele
A czynem rani:
Choćby ci mówił słówek pięknych wiele —
Nie wierz mu pani.

Jeśli kto, szepcąc o miłości swojej,
Dobiera słów:
Nie wierz, bo miłość szelestu się boi
Jak anioł snów!
Choćby przysięgał, że ginąć mu raczej
W piekieł otchłani —
Odejdź spokojna — nie umrze z rozpaczy:
Nie wierz mu pani.

Lecz jeśli cicho ktoś rzec się poważy,
Że kocha cię —
I widzisz troskę w jego bladej twarzy
A w oczach łzę —
Choć tak prostaczych, i choć słów tak mało
Przyniósł ci w dani:
Możesz mu wierzyć, i zaufać śmiało —
I — kochać, pani!

Poznań, 13 Stycznia 1870.

ZAPÓŹNO.

WOLNY PRZEKŁAD.

Któż tam jak wicher na koniu bieży,
Z pod kopyt pioruny ciska?
W mroku i cieniach świat cały leży,
Zaledwie miesiąc zabłyska.

Na sennym stepie omdlało kwiecie,
Wiatr mrozem tchnie do około —
Któż tam jak burza w stepach się miecie,
I budzi kwiaty i zioła?

Czy się upiory z mogił podniosły,
Co z mroków nocy wychodzą?
I prą przez stepy jak śmierci posły,
I pieśni grozy zawodzą?

Bo aż się echo o step roztrąca,
Jak gromy albo ryk zwierza.
Kurzawa rośnie — o chmury trąca,
I aż o gwiazdy uderza.

Czy szatan błędne zatlił ogniki,
I w polu rozwiał szerokiem?
O stój szalony! po te płomyki,
Nie sięgnąć ręką — ni okiem. —

Kozak się mary nie lęka wrogiej,
Bo krzyż na piersiach mu świeci;

A pod kozakiem koń wiatronogi,
Rży, bryzga pianą — i leci!

Pospiesza kozak — a gwiazdy świecą
Rozwiane w górze szeroko.
I smętne dumki w ślad za nim lecą,
Naprzód myśl bieży i oko.

Faluje z wichrem grzywa rozwiana,
Jak orzeł w chmurach koń — pływa.
Chyżej od orła gna myśl znękana,
I żwawiej serce się zrywa.

Koń wierny w biegu wichry przerzyna,
Aż serce rośnie kozacze.
O, rwie się kozak, kędy dziewczyna,
Czeka na niego i płacze!

Spojrzał gdzie ściany chatki bieleją —
Wkrótce ich w cerkiew powiodą —
Cieszył się kozak, mamił nadzieją,
Jak rybka cieszy się wodą.

Słuchaj kozacze: ciężkie, brzemienne,
Jęki się dzwonów ozwały —
Z oczu mołojca, cięższe, kamienne,
Łzy na pierś twardą spadały —

Miesiąc z chmur czarnych pojrzał grobowo,
Coś ludzie roją się tłumno.
Dziewczęta trumnę niosą dębową —
O! — powiedz! czyjaś ty trumno? —

Za trumną matka idzie wybladła,
Zawodzi jękiem i płacze —
Na trumnę grudka ziemi upadła! —
Zapóźno! — W drogę kozacze.

Kraków, 10 Czerwca 1869 r.

O CZEM ŚPIEWAĆ?

O czem śpiewać? pytasz mię kochany!
O czem śpiewać? czyż brakło ci treści?
Oto naród twój ukrzyżowany,
Oto Macierz twa pada w boleści —
W koło łkania i jęki złowieszcze:
O czem śpiewać? ty pytasz mię jeszcze?

Bądź Samsonem! i siłą Samsona
Odwal płytę mogiły omszałą.
I krzyż wielki weź na swe ramiona,
A nie patrzaj wielu się ostało —
Idź w swą drogę o bracie najszczerszy,
I nie pytaj, ostatniś czy pierwszy?

Z mroku dziejów i grobowej pleśni,
Szukaj prawdy jak perły tajonej —
Oto temat potężny do pieśni,
Pieśni wielkiej i nigdy skończonej!
Gdy pierś twoją mróz grobu oziębi,
Pojrzyj wtedy do serca twej głębi —

* * *

O czem śpiewać? pytasz mię kochany!
Zejdź w twych dziejów pomrokę i ciszę!
Patrz, tam stoją Pułascy, Rejtany,
Sołtykowie, Konarscy, Zawisze —

Z pod Trębowli, Trockiego powstania,
Cały szereg się niewiast odsłania!

A więc nie skarż się grzeszny przed światem,
Że już nie masz skąd czerpać natchnienia!
Tu czyn każdy jest wielkim tematem,
Tylko z nieba błagaj namaszczenia!
Tylko w przeszłość twą pojrzej miłośnie,
A pieśń twoja — jak dąb się rozrośnie!

Nie szczędź słowa, nie czołgaj się zdradnie!
Zacne imię staw zacnie przed oczy;
Na odstępców niech pieśń twoja spadnie
Jak grom Boży, niech w ziemię ich wtłoczy —
Przed Twą bracią, ojczyzną, kościołem,
Stój obronnie ramieniem i czołem.

Poznań, 29. Listopada 1869.

MŁODEMU BADACZOWI DZIEJÓW

KAZIMIERZOWI G.

I.

Z ksiąg zbutwiałych, pracowicie
Omiatając pył,
Badaj dawne Greków życie.
Pełne ognia, sił.
Zapleśniałe w zapomnieniu
Księgi dawnych praw:
Skarlałemu pokoleniu
Za przykłady staw.
O Heleńskich bojach dziatek,
Nuć z Homerem, nuć!
Nieś im tarcz, z godłem ich matek,
„Z nią, lub na niej wróć!“
Niech cię pieśni porwie krasa,
Tyrtejowy śpiew!
Wskaż na grób Leonidasa
Co legł niby lew!
Pokaż tych, co śpią w mogile,
O miecz wsparłszy dłoń:
Megalopol, Termopile,
Helespontu toń!

II.

Spojrz na owych ksiąg ogromy!
    O! w nich treści dość!
Na prastarych dziejach Romy,
    Daj duchowi rość!
Wskaż na lud ten, co dla świata,
    Prawem był, jak Bóg!
Idź, powołaj Cyncynata,
    By tron wziął za pług!
Dziewic naszych zwołaj grono,
    I Lukrecji twarz,
Świętym wstydem zapłonioną,
    Dla przykładu wskaż!
Tym, co drżą przed poświęceniem,
    Czyny wielkie głoś.
Wskaż Scewoli dłoń, płomieniem,
    Przegryzioną wskroś.
O tych dziejach dalej, dalej,
    Mów nam jeszcze, mów;
Spraw, by ludzie ci powstali,
    Z pod mogiły znów!

* * *

Tak masz badać dawne dzieje,
Tą ci drogą iść!
Wszak od Greków ci się śmieje,
Wawrzynowy liść!
Od oliwek — rzymskie błonie,
Dotąd jeszcze lśni —
Z nich w przyszłości na twe skronie
Wieniec damy ci!

1872 roku.

PIEŚŃ PRZY KAGANKU.

Już dawno trzecie kury odpiały,
Na dworze ciemno i słotno.
W lampce, migocąc ogarek mały,
Oświetla izbę wilgotną.

Mroczno — cień długie rzuca załomy —
Na ścianach woda ocieka.
W kącie przetartej leży pęk słomy,
Ach, to mieszkanie człowieka!

Pod oknem postać jakaś schylona
Nad płótnem, blada jak płótno,
Piosnka poczęta na ustach kona,
Straszno, boleśnie i smutno.

W skostniałych palcach igła migota,
Źle patrzyć przez oczy łzawe! —
Więc też powoli idzie robota,
A dni tak ciężkie i krwawe!

O! prędzej, prędzej, nitka się plącze,
A tu tak strasznie z tą nędzą.
Jeśli do jutra sukni nie skończę,
To mię z tej izby wypędzą!

Lecz cóż mi jęki, cóż płacz pomoże,
Z oczami trzeba z ostrożna.

Robota pilna, nawet mój Boże,
Popłakać nad nią nie można.

Snu ledwie parę godzin zostaje,
Do pracy budź się o świcie!
Aż serce pęka, aż pierś się kraje,
Takież mój Boże to życie! —

I znowu szyje pilna dziewczyna,
Jeno się miga robota.
I znowu jedna mija godzina,
Jutrzenka wschodzi już złota.

Jeszcze ścieg jeden! ręki dołożę,
Głowa na chwilę choć zaśnie!
Jeszcze ścieg jeden! — — a w tem, o Boże!
Ogarek u lampki gaśnie!

Jęknęła biedna — chce wstrzymać ręką,
Tchu w piersiach więcej nie stało!
Słonko ciekawie patrzy w okienko —
Ale już dziewczę nie wstało.

Zakrzewo, 22 Grudnia 1869.

PRZĄDKA.

Przy kołowrotku siadła,
I snuła biadą nić.
Z oczu jej łeska spadła,
Serce poczęło bić —

O! powiedz, powiedz mała,
Czem wstrzymać łez twych bieg?
Przędza twa lekka, biała,
Niby majowy śnieg —

Ustroisz się w niedzielę,
Tylko mi wierzyć chciej —
Zazdrościć ci w kościele,
Będą bielizny twej.

I czemu łkasz dziewczyno,
Drżysz jak od wiatru liść?
Przędza twa z pajęczyną,
W zawody może iść —

Tum spotkał wzrok dziewczyny;
Mówiła mi przez łzy:
„Włókienko pajęczyny,
Wciąż się przedrzeźnia mi!“

1871.

KARTKA Z ŻYCIA.

W młodzieńczym wieku, w daleką stronę,
Wichrami losu będąc zagnany,
Obce mi było słowo pieszczone
Najdroższej matki, matki kochanej.
Ni uścisk ojca, ani rodziny
Głos mię nie doszedł rzewnej pociechy —
Na poniewierkę, Boże jedyny!
Byłem rzucony z ojczystej strzechy! —
Kiedy widziałem na łonie matki
Pieszczone dziecię, tom rozszalały
Rwał się do niego, jakbym ostatki
Pieszczot, dziecinie chciał wydrzeć małej!

. . . . Matko jedyna!
Tylko pamięcią żyłem ja twoją,
Tylko wspomnieniem twojej pieszczoty!
W rozpaczy — dziecku ty byłaś zbroją,
Świecącą jasno jak promień złoty.

A gdym powrócił do ojcowizny,
Kędy zastałem zamknięte wrota,
Nowe mi serce okryły blizny,
I znów poznałem — żem ja sierota!

Stęsknionem sercem szukałem kogo,
Co by mógł odczuć tętna mej duszy,
Co by mi przyszłość pokazał błogą,
I w raj zamienił piekło katuszy.

I na mej drodze stanął młodzieniec,
Jasne miał oczy, pogodne czoło;
Na licu malin kwitł mu rumieniec
I na sierotę skinął wesoło.

Jam się ku niemu rzucił w nadziei,
Że ciernie życia zmieni mi w róże;
On mi dłoń druha podał z kolei,
Co miała przykre zażegnać burze —
Do jego serca sercem zbolałem,
Tulę się całem mojem istnieniem!

O! Panie, Panie! czyż ja wiedziałem,
Że serce jego było kamieniem!

ODPOWIEDŹ
NA ZAPROSZENIE DO PARTJI PIKIETA.

Życie ludzkie — to karty,
Które w ręku uparty
    Los trzyma!
Człowiek z dolą się biedzi,
I krwawemi grę śledzi,
    Oczyma.

W tę, i w ową je stronę,
Rzuca fatum szalone,
    Niegrzecznie —
Gdy się nazbyt rozhula,
Kto chce damy — ma króla,
    I sprzecznie.

Szczęście stoi na zdradzie,
A na karty człek kładzie,
    Swe mienie —
Wszystkie skarby swe złote:
Miłość — życia istotę,
    Sumienie!

Lecz najsroższa tam męka,
Kiedy karty te, ręka
    Ma biała —
I los życia na szalę
Gry tej, rzuca niedbale,
    Zuchwała!

Będę z panią otwarty:
Wszystko stawię na karty,
  Niestety! —
Lecz niech żadna nie leży —
W dłoni, co los mój dzierzy,
  Kobiety!

DZIATWA.

Jak rój złotych pszczółek gwarna,
Tęczowemi barwy lśniąca,
Miłościwa i ofiarna,
Jak wulkanu krater wrząca,
W szmaragdowej kwiatów toni,
Huczy dziatwa, szumi, dzwoni —

Co tu szczęścia, co wesela,
I uroku i radości!
W pierś stęsknioną, zda się wciela
Życie nowe, raj młodości!
Tu się całą piersią żyje!
Tu krew raźniej w żyłach bije!

Oh! gdy spojrzeć na te ptaszki,
To aż w świecie człeku ludniej!
Gdy pląsają wśród igraszki,
To aż ziemia od nich dudni!
A gdy z prośbą się przymilą,
Rade nieba ci przychylą!

Baw się, baw się, luba dziatwo!
Igraj sobie, szum i szalej!
Dziś ci szczęście sprzyja łatwo,
Czyż tak w życiu pójdzie dalej?
Czerp więc tutaj, druchu mały,
Wspomożenia na wiek cały!

„Święć się, święć się, wieku młody!“
W niebo jasny strzelaj kwiecie,
Zanim burze i zawody,
Pierś ostudzą ci na świecie,
I rozwieją bezlitosne
Szczęście twoje — twoją wiosnę!

Cóż zostanie z upojenia,
Gdy kwiat uczuć wiatr roztrzęsie?
Za bezmierny skarb marzenia,
Perłą rosy łza na rzęsie —
Czerp więc tutaj orli synu,
Moc do trudów i do czynu!

NAD KOŁYSKĄ.

URYWEK.

I widziałem dziecinę,
Taką słodką, śmiejącą!
I śpiewałem piosenkę,
Do snu dziecię tulącą:

O! śpij drogi aniele!
Zanim świat cię obudzi —
Drogę cierniem uściele,
Płomień uczuć ostudzi!

O! śpij mała dziecino!
Śnij o niebie, aniołach!
Zanim łzy ci popłyną,
Utrudzonej w mozołach.

Uśmiechnięte łaskawie,
Spało dziecię kochane;
A jam patrzył ciekawie,
W jego liczko rumiane;

Jakbym z jego chciał twarzy
Przejrzeć szczęście, niedolę,
Jakim losem obdarzy
Niebo, małe pacholę?

I raz mi się zdawało,
Że w niem widzę rycerza!
Że kraj zeń się dochowa,
Walecznego żołnierza!

To że mędrzec Jehowy,
Wzrośnie Panu na chwałę,
I pokaże tor nowy,
Dzieciąteczko to małe!

Tom znów widział z kolei,
Jak ująwszy krzyż w dłonie,
Głosi słowa nadziei,
W oddalonej gdzieś stronie!

I łza mi się gorąca
Z pod powieki wyrwała —
Jam się modlił w zachwycie,
Za dziecinę co spała!

O! śpij małe nieboże!
Sen ci powiek nie strudzi;
Pożałujesz snu może,
Gdy się zbudzisz do ludzi!

DROGA DO NIEBA.

Mateńko moja! powiedzcie jeno,
Jaką do nieba trafić dróżyną?
Czy ta jest droga żywota wieczna,
Co lśni na niebie jak wstęga mleczna?
Czy jaka inna ukryta może,
Która prowadzi w królestwo Boże?

— Oh! mój najmilszy aniołku mały!
Ten promienisty gościniec biały,
Na którym jasną, wiosenną nocą,
Srebrne gwiazdeczki światłem migocą,
To tylko dla nas jako wzór święty,
Na lazurowem niebie rozpięty,
By droga nasza była tak biała,
Jak ta w błękitach wstęga wspaniała!

Kto chce do nieba trafić o! dziecię!
Ten drogę znajdzie i tu na świecie!
Miłość mu wrota raju otworzy,
A litość w kraj go zawiedzie Boży!
Oh! mój aniołku! przed Tobą droga
Leży, wiodąca do Pana Boga!

Nie zbaczaj jeno na ścieżki kręte,
Lecz powinności wypełniaj święte!
A gdy kres życia padnie na ciebie,
I ty gwiazdeczką zalśnisz na niebie!

Warszawa 1864.

CZEMU?

Czemu pierś mi żwawiej bije,
Do ptaszęcej pieśni gwarów?
Czemu łza się w oku wije,
Gdy wzrok błądzi wśród obszarów?

Czemu klękam do pacierza,
Gdy z kaplicy dzwonek woła?
Czemu silniej pierś uderza,
Gdy do swego dążę sioła?

Czemu z dziatwą jako dziecię,
Igram, bawię się i pieszczę?
A gdy spojrzę się po świecie,
To znów nieba pragnę jeszcze?

Czemu ogniem płonę cały?
Czemu zrywam się, najszczersi!
Kiedy ujrzę krzyżyk mały,
Na walecznej lśniący piersi?

Czemu, czemu myśl w żałobie,
A pierś wielkim jęczy żalem?
Kiedy wołam: pokłon Tobie!
Cześć Twym grobom Jeruzalem?

MODLITWA WIECZORNA.

I cisza padła na ziemskie obszary,
I na kolanach drożyna już cała,
Modli się w pełni miłości i wiary:
Przedwieczny! cześć Ci i chwała!

Modli się rolnik na sennym ugorze,
Pastuszą fletnią dolina zabrzmiała,
I cała ziemia modli się: o! Boże!
Przedwieczny! cześć Ci i chwała!

Kielichy lilji schylone, pokorne,
Łąka woniami i zielem wspaniała,
Wznoszą do Ciebie modlitwy wieczorne;
Przedwieczny! cześć Ci i chwała!

Ptaszek ostatnią piosnką na gałęzi,
Co się w powietrzu na cześć Twą rozwiała —
I duch mój Tobie modli się z uwięzi:
Przedwieczny! cześć Ci i chwała!

PROLOG.
(KAPŁANKA.)

Oto w tym dawnym przybytku sztuki,
Co niespożyty stoi jak głaz,
Co sławą ojców ogrzewa wnuki:
Znowu, ziomkowie! witamy was!

Z wiarą co w piersiach iskrę rozżarza,
Co nas do celu ma wiernie wieść:
Starym zwyczajem u stóp ołtarza,
Domowym bogom składamy cześć!

Cześć tym genjuszu boskim promieniom,
Co w sercach twórcze wzbudzają skry!
I nieśmiertelnym tych mężów cieniom,
Których głos jeszcze w tych murach drży!

Do nich błagalne wznosimy dłonie,
Drużyna sztuki ojczystej sług!
Niech ich natchnienie zadrga nam w łonie,
Niech kroczą przodem wśród naszych dróg!

Ty sztuko! tarczo ojczystej mowy,
Której stuletnia nie tknęła śniedź:
Na drodze naszej długiej, cierniowej,
Słoń nas, i blaskiem piękna nam świeć!

Mury! wy nasza gościnna strzecho,
Świadkowie tylu mistrzowskich scen!
Ich twórców wieszcze dajcie nam echo,
Niech ich świątnicą będzie gmach ten!

O! myśli wieszcza! w zbroi dramatu
Jak rycerz dawny przestąp ten próg!
Wskrześ nam tych mężów berła, bułatu,
Których na czoła kładł chryzmat Bóg!

Ty pieśni nasza! jak dzwonek z wieży
Płynąca, albo ptaszęcy chór:
Uderz o serca polskiej młodzieży,
Natchnij ją czynem, wołaj o wtór!

(postępując na proscenium)

Z temi skarbami tradycji, wiary,
Co zdolne jeszcze wywołać cud!
Pójdziem! roztoczym nasze sztandary,
I chętnie wszelki podejmiem trud.

Dla was i przez was! działać tu chcemy,
Do rąk swą przyszłość składając wam!
My dla was pracę i znój dajemy,
Wy tylko ufność oddajcie nam!

A czy z ziarn czystych — na ojców błoni
Wzejdą nam ciernie czy lauru liść:
Z polskiego słowa proporcem w dłoni,
Naprzód! o, naprzód! będziemy iść.

I nikt nie wydrze, nikt go nie splami,
Jak orzeł wionie ten sztandar nasz —
Bo wy przed sztuką, bo wy przed nami,
Będziecie stali jak przednia straż!

METAMORFOZY.

Póki dziewczę jak aniołek,
Za ptaszkami piosnkę dzwoni!
Serce u niej jak fijołek,
Tajemniczej pełne woni.

Lecz gdy rajskie zmilkną śpiewy,
I roztleje uczuć burza:
To serduszko młodej dziewy,
Jak stulistna gore róża.

Im w świat dalej, mniej los płuży,
Ostrzej w serce ból się wpija:
Zniknie powab krasnej róży,
Zblednie liczko jak lilija —

Cierpi, więdnie do ostatka,
Lecz nie zdradzi bólu słowy:
Aż z białego lilji kwiatka,
Bóg ją zmieni w kwiat cierniowy.

Poznań, 1 Czerwca 70. roku.

KAPRYŚNA.*)

Tak się biedna rozpłakała,
Gołąbeczka moja mała,
Z lic rumieniec zbiegł!
Zmilkły rajskie jej szczebioty,
I uśmieszek zniknął złoty,
Co jej ustek strzegł!

Jak dwie pereł z jasnej toni,
Z ocząt dwoje łez się roni,
Cóż je wstrzyma cóż?
— Dam ci słonko gorejące,
Wszystkie kwiatki dam na łące,
Tylko nie płacz już!

Nawet nieba ci przybliżę,
I skrzydełka dam ci hyże,
Jaskółeczki lot —
Gwiazdkę tobie zdejmę małą,
I ozdobię skroń twą białą,
Strojną w kruczy splot!

*) Z Muzyką Michała Hertza.

I cóż więcej dam dla ciebie?
Cóż? samego chyba siebie,
  Jeśli przyjmiesz mię? —
Pogroziła na mnie z lekka:
— A ptasiego czy dasz mleka?
  I rozśmiała się!

PIOSENKA.*)

„Wlazł kotek na płotek i mruga:
Piękna to piosneczka — nie długa!“

Nad srebrnym ruczajem u wzgórza,
Gdzie brzoza pochyla się biała:
Zosieńka prześliczna jak róża,
Na chłopca za płotkiem mrugała.
Niby to szukała stokrotek,
Gdzie modra przewija się struga,
Lecz oczka jej biegły za płotek:
Wlazł kotek i t. d.

A chłopiec, a miły a hoży —
Wzrok jego do głębi przenika,
Na licu mu igra brzask zorzy,
I patrzy i kręci wąsika.
Na rozkaz tak ślicznych szczebiotek,
Każdy z nas powolny jak sługa,
Więc chłopiec przesadza opłotek:
Wlazł kotek i t. d.

Już przy niej, już gwarzy i ściska,
Ej! z chłopca to istna pokusa:
„Daj pokój! bo patrzą ludziska,
Daj pokój...“ Ba! ukradł całusa!
To cały kot z niego nie kotek,
Lecz ze mną rozprawa nie długa.
A ruszajże sobie za płotek! —
Wlazł kotek i t. d.

---

*) Z muzyką Bolesława Dembińskiego.

I poszedł skąd przyszedł chłopczyna!
A czemu kradł całus jak złodziej?
Ba — ale figlarna dziewczyna,
Jak dawniej na wzgórze przychodzi!
I niby to szuka stokrotek,
Gdzie srebrna przewija się struga:
Lecz oczka jej biegną za płotek:
Wlazł kotek, na płotek i mruga.

Poznań, 13 Lipca, 70. r.

KOBIECIE.

Kobieto! tyś aniołem, gdy nad męską głową,
Nad czołem utrudzonem od walki i znoju,
Oczy twoje jutrzenką zabłysną różową,
A usta niosą słowa miłości — pokoju.

Kobieto! tyś aniołem, gdy na skroń młodzieńca,
Biała dłoń twa opadnie i ogień ochłodzi.
Gdy słowo twe natchnione do trudów zachęca,
Gdyś jest gwiazdą przewodnią i patronką młodzi.

Kobieto! tyś aniołem, gdy wdzięcznie schylona,
Nad kołyską dziecięcia złote gonisz mary,
I synka otulając w matczyne ramiona,
Wcześnie uczysz go wielkiej modlitwy — ofiary.

Kobieto! tyś aniołem — — w łunie bojowiska,
Na tle nieba krwawego, wśród gwiazd zbladłych z trwogi.
Twój welon, niby gwiazda odkupienia błyska,
Gwiazda, co ma ludzkości nowe wskazać drogi.

Kobieto! tyś aniołem domowego progu!
W okół ciebie czeladki brzmią gwary, szczebioty,
A ty ją wiedziesz cicha ku twojemu Bogu,
Po drodze poświęcenia, obowiąsków, cnoty.

Kobieto! tyś aniołem! O, bądź dla ludzkości
Zawsze tym ideałem, czynów jej koroną,

Wsparciem męskich porywów, skarbnicą miłości,
Gwiazdą tak zda się bliską a niedoścignioną!

O! niech ja ciebie zawsze widzę taką jasną,
Niech wiem, żeś ty mi stróżem, do czynu podnietą:
A choć gwiazdy do koła na niebie pogasną,
Po twej drodze niebiosa odnajdę — kobieto!

DUMANIE.

Czemuż nie jestem piewcą słowikiem,
 Czarownej lutni piastunem?
Wieszczego słowa — Pańskim lirnikiem?
Owym natchnienia jasnym promykiem,
 Aniołem? — miru zwiastunem!
Czemuż pieśń moja, cicha, nieznana,
 Dziś spływa jękiem stłumienia?
I jak gwałtowną burzą miotana,
 Zerwie się — błyśnie — i skona!

Tęskna myśl moja, ni z maju tchnieniem,
 Żałobnej szaty nie zmieni;
Gdzieś za czarownem goni wspomnieniem,
Zamiast radosnem powitać pieniem
 Rozbłysk wiosennych promieni! —
Zaledwie dumka rankiem po rosie,
 Na łąki spłynie kwieciste,
Aby w miłości świętej odgłosie,
 Pozdrowić łany ojczyste!

A choć i z pieśnią przebiegam błonie,
 Pieśń mi zamiera wśród łona.
Śmiertelny powiew na twarz mi wionie,
Pierś moja ogniem zda się że płonie,
 Napływem uczuć wzburzona.
I znów samotny błądzę w oddali
 Jak cień wiecznego żebraka! —
Tak biegiem wrzącej upływa fali,
 Cierniowe życie śpiewaka.

1864 r.

STRZEŻ ŁZY!

Pókiś jeszcze sercem młody,
Póki jeszcze pieśń swobody,
W duszy twojej gra:
Marzysz wszystko co szlachetne,
Chwytasz tylko to, co świetne,
Co czyste jak łza.

Lecz gdy burza lat pomiecie,
I rozgoni cudne kwiecie,
Młodocianych dni;
Już cię wiosna nie zachwyci,
Nie pogonisz złotej nici,
Co gdzieś w górze lśni!

Świat — młodego, zwabi zdradnie,
I z wszystkiego cię okradnie,
Coś mu ufny niósł:
Źródło uczuć mrozem zetnie,
I kwiat strąci co tak świetnie,
Na dnie serca rósł.

Pierwsza — pęknie strôna wiary,
Co do serca jak do czary,
Lała czarów ton —
Potem rozpacz się rozgości,
Pierś zostanie bez miłości,
Jak bez serca dzwon.

Z pustką — w pustym staniesz świecie —
A świat z oczu łzę ci zmiecie,
Jako rosę z róż.
Sny czarowne wiatr roztrzęsie;
Oh! i nigdy na twej rzęsie,
Łza nie błyśnie już.

Na płacz sierot u podwoi,
Braknie echa w duszy twojej,
W oczach braknie łzy —
I na braci jęk daleki,
Suche będziesz miał powieki,
Skrzepłą pierś bez skry! —

Rozpacz głucha z nocą czarną,
Jak w pajęczą sieć ogarną,
Biedne serce twe.
A ty, Boga nadaremnie
Będziesz błagał przez te ciemnie,
Choć o jedną łzę!

O! kto strwoni łzy zawcześnie,
Ten już przejdzie świat boleśnie,
I legnie bez czci.
Niby konar z pnia odgniły,
Bez pacierza do mogiły
Pójdzie — i bez łzy!

Poznań, 21 Czerwca, 1870.

DZIECIĘ Z KWIATAMI

(POD OBRAZEM PĘZLA TYTUSA MALESZEWSKIEGO).

Ty się pieścisz promienny aniele,
Uśmiechnięta dziecino — z kwiatami.
Baw się niemi! nim los ci rozściele,
Łzy i ciernie przed twemi stopami!

Tęskny, patrzę w twe oczka śmiejące,
W lica twoje jak krasny kwiat róży —
W oczach widzę i błękit i słońce,
Lic rumianych mgła troski nie chmurzy.

Baw się dziecię, o baw się pieszczone! —
Kiedyś, z objęć wyrwane od matki:
Tęsknym wzrokiem powiedziesz w tę stronę,
Gdzie błyszczało słoneczko i kwiatki!

1871.

KOWAL.

Dyszą miechy — a pod młotem
Z pod żelaza lecą skry.
Skroń kowala szkli się potem,
A u powiek świecą łzy.

Na kominie żar się puszy,
W całej kuźni huk i gwar;
Lecz w kowala tęsknej duszy,
Jeszcze większy szum i — żar.

W domu chore dziatki, żona —
W pierś się wbija bólów grot.
„Hej do pracy! a nuż skona?“
I w dłoń silniej chwycił młot.

Pobiegł myślą do swej żony,
Dziatwie z serca uścisk dał.
I wciąż młotem kuł — szalony,
Jakby biedę zabić chciał.

„O! jak srogo Panie! Panie!
Tyś mię w chwili dotknął złej!
Choć nad dziatwą zmiłowanie,
Choć nad żoną litość miej.“

Próżna modła — łzą zaciekła
Nieszczęsnemu cała twarz.
„Gdy im zsyłasz męki piekła,
Mię, o Panie za nich karz!

Mię na bólów powal łoże!
Mię niech ręka dotknie Twa!
Mię... — o przebacz wielki Boże!
— A któż dziatwie chleba da?“

Chciał rozegnać troski chmurę,
I do pracy jął się w lot.
— Lecz nim ramię podniósł w górę,
Z martwej ręki padł mu młot.

DZIWACTWO.

Ja sądziłem, że na świecie
Tak cudownie, tak uroczo —
Że te burze i zamiecie
Które jasne dzionki mroczą —
Ledwie wioną — i przewiodą,
Albo inną pójdą stroną!

Ja sądziłem, że w niemocy
Jeśli zbłądzi biedny człowiek,
Znajdzie chętną dłoń pomocy
Która otrze mu łzy z powiek,
I ukoi i pocieszy,
I umocni i rozgrzeszy!

Ja sądziłem, że to dziecię —
Zawodzące jęk żałości
Wzruszy serca, że ktoś przecie,
Chlebem — solą je ugości,
I utuli na swem łonie,
I braterskie poda dłonie!

Ja sądziłem!... Precz marzenia!
Wciąż jednaka huczy burza,
Dziecię pada z unużenia
Biedak głębiej w kał się nuża! —

A tuż przy nich, tłuszcza gwarna,
Syty ludek — więc nie wzruszy
Go jęk bliźnich, ni noc czarna
Co osiadła w Pariów duszy!

Ale oto zmrok zapada,
Księżyc srebrzy szatę nocy:
Biedne dziecię ziębłe pada,
Nędzarz ginie bez pomocy!

A nazajutrz tłum narodu,
Zbiegł oglądać to biedactwo:
I dał wyrok, że za młodu
Z nędzy tylko mrze — próżniactwo!
A o biednym chcieli dowieść,
Że przynosił światu zakał! —
Na pogrzebie nikt nie płakał —
I — skończona moja powieść.

Warszawa 1860.

PIOSENKA.

Śpij, serduszko, śpij,
Sny spokojne miej,
Spij, jak dziecię śpi,
W kołyseczce swej.

Na pościeli z róż
Błogo będziesz śnić —
Boże! wszak ci już
Pierś zaczyna bić —

Wciąż kołacze tak,
I opływa łzą:
Czy ci czego brak,
Co chcesz serce, co?

Piosnkę niosę ci,
Na spokojny sen,
Tylko powiedz mi,
Skąd niepokój ten?

Noc, jak skrzydłem ptak,
Otuliła cię —
Skąd ci wcześnie tak,
Przyszło budzić się? —

I tak rychło dość,
Rozbudzi cię świat.
Daj pączkowi wzrość,
Nim wystrzeli w kwiat —

Próżne słowa me,
W nocy rzucam cień —
Serce budzi się,
Bo przeczuwa dzień!

DO POLEK.

W ALBUMIE PANI HR. M.

Wy się z francuskiej modlicie księgi,
Bogu, dewocją kłamiąc jałową!
O, bo nie znacie owej potęgi,
Jaką w rodzinne Bóg zaklął słowo!

Wy się modlicie mową salonów,
Co się wśród zimnych zszarzała ludzi —
A nie tym świętym głosem miljonów,
Który miljony do czynu budzi.

Wasza modlitwa woniami zlana,
Gdzież w niej świeżości i siły zaród?
Taka modlitwa nie dojdzie Pana,
Tak się tułaczy nie modli naród!

Polki, niech wasza modlitwa będzie,
Jako pierś Marji przeszyta mieczem —
Niech się o niebios oprze krawędzie,
I niechaj bólem zadrga człowieczem.

Idźcie do chaty, gdzie Boża Macierz,
Co dnia modlitwy słucha wieśniaczej;
Może za prosty, ojczysty pacierz,
Bóg wam modlitwy tamte przebaczy.

BĄDŹ CZŁOWIEKIEM!

Kobieto, dotąd życia nieświadoma walki,
Nieznająca praw jego, ni drogi, ni mety:
Byłaś do dziecka szału podobną, lub lalki,
Lecz na czole twem diadem nie błyszczał kobiety!

Dotąd pierś męska w życiu, była dla cię tarczą
Trwożna ptaszko! fantazji wykarmiona mlekiem.
Dziś męże zniewieścieli — a burze już warczą —
Z popiołów wzleć Fenixie i stań się człowiekiem!

Bądź człowiekiem — patrz, oto droga się rozściela,
Na tej drodze nędzarzy widzę albo dziatki:
Ci odnaleźć nie mogą krzyża Zbawiciela,
Te od krzyża odeszły i od trumny matki.

Bądź człowiekiem — niech siły w tobie się wytężą,
Niechaj dłoń twoja czuwa nad otchłani cieniem:
Cnotą podbijaj męstwo, sercem zrównaj mężom,
A więcej wzniesiesz słowem, niż oni ramieniem.

Bądź człowiekiem — nie wzdychaj do skrzydeł anioła,
Bo nie w eterach tobie odprawiać gonitwy.
Człowiek woła miłości — ziemia pracy woła,
Dziecię, drobne rączęta splata do modlitwy.

Idź do wiedzy — przed tobą płynie ona rzeką:
Niech każde słowo mędrca w tobie w czyn się wcieli.
Lecz pomnij — sercem więcej obdzielisz daleko,
Niż mędrzec swą nauką łaknących obdzieli.

Oto cel twojej drogi — a do takiej mety,
Idź pełna wiary, ręce podnosząc z daleka!
I nie walcz nierozważna! o prawa kobiety,
Gdy przed tobą otwarte są prawa człowieka!

W IMIONNIKU W. O.

Choćby świat szydził z twojej piosenki,
Choćby wyśmiewał młode uczucie,
Ty wciąż uderzaj w struny lirenki,
Coraz cudniejsze snuj nam piosenki,
I w czarowniejszej wciąż nucie!
Niech cię nie straszą pustoty słowa,
Pieśnią twą wzlatuj aż pod niebiosa,
Bo wydaż ziarno ziemia jałowa,
Choć na niej co dzień lśni Boża rosa!

Na drogę życia patrzaj z ufnością,
Z wiarą do Boga podnoś ramiona!
I niech pieśń twoja nosi znamiona —
Niech się objawia Bożą miłością.
Bo kto nie żyje jak anioł Boży,
Kto się ze świata pobrata grzechem,
Ten niechaj raczej zamilknie skorzej,
Bo pieśń mu próżnem przedzwoni echem!

Pomnij i na to, że w twojej pieśni
Ma wrzeć i siła, i czynu dzielność,
A kto choć jeden dzień życia prześni,
Wiekiem nie wzbije się w nieśmiertelność!
Niech więc pieśń twoja będzie, jak ony
Grom czci i trwogi, co z niebios spadnie!
Gdy w złotej lutni uderzysz struny
Dźwiękiem świat wstrząśnie, mocą owładnie

Spojrzyj! tam w jasnym niebios lazurze,
Lśni promienista korona z tęczy!
Śmiało więc po nią sięgaj ku górze,
Ona twe czoło uwieńczy!
Naprzód więc wieszczu, naprzód przez ciernie
Krokiem podwójnym, jak żołnierz w boju!
Wziąwszy krzyż pański, dotrwaj z nim wiernie,
Wiarą, miłością zbrojny pancernie,
A nie upadniesz wśród znoju!

Naprzód więc, naprzód! poeto młody!
O! nie oglądaj się już za siebie,
Lecz z przeszkodami śmiało w zawody
Sięgaj po twoją gwiazdkę na niebie!
A chociaż drogi twej kres daleki,
Ty się młodzieńcze nie cofniesz zdradnie!
Bo hańba temu, hańba na wieki
Kto na połowie drogi upadnie!

TOAST

PODNIESIONY NA UCZCIE

DANEJ DLA

J. RYCHTERA ARTYSTY DRAMATYCZNEGO.

Życie aktora, biedne, tułacze,
Gościniec jego ciernisty.
Śmiać się na scenie, gdy serce płacze,
Oto jest zawód artysty.

Nieraz nie wiecie co się tam dzieje
W sercu i w duszy na głębi —
Artysta bawi, śmieszy, szaleje,
Choć rozpacz w piersiach się kłębi.

Przez wątłe ściany wicher pomiata,
Słoma jedynem posłaniem.
On gra w tej chwili rolę magnata,
Co pysznem gardzi śniadaniem.

Demon niedoli, brat jego starszy,
Skrzydłem go nieszczęść ocienia.
Prosto ze sceny bisior monarszy
Na płaszcz wytarty zamienia.

Lecz skoro stanie w zaklętem kole,
Gardzi przebytem cierpieniem:
Genjusz mu piętno kładzie na czole,
Serce rozpiera natchnieniem.

Czuje, że na nim spoczął duch Boży —
Zwycięski — staje u mety.
W tej jednej chwili — wielki — bo tworzy,
Całą potęgę poety.

Słowa się lawą leją ognistą,
Huczą oklaski, wrą brawa.
On wie że mistrzem, że jest artystą,
Wiedzie go urok i sława.

Tacy artyści sławy nie zmienią
Za pełną kiesę magnata —
Bo serca ziomków co pracę cenią,
To im najdroższa zapłata.

My ci w tej chwili złota nie dajem,
Bo dziś ubogo wśród braci:
Lecz uścisk dłoni, złączonych wzajem,
Niechaj twe trudy odpłaci.

MOIM TOWARZYSZOM.

Słuchajcie pieśni!
Ażali wiecie,
Co to być piewcą, co być lutnistą?
Co to mieć duszą silnę, ognistą? —
Cześć natchnionemu poecie!

On pełen ducha Bożego — śpiewa,
Wieszczy głos jego zachwyci, wzruszy,
Łagodnem pieniem wzbolałej duszy,
Zbawcze promienie rozlewa.

A chociaż nieraz skargę powtarza,
Choć pieśń mu wzlata tchnieniem grobowem,
Może proroczem zanuci słowem —
Więc posłuchajcie pieśniarza!

Choć łza po licu zbiega nieśmiele,
A z lutni cichsze spływają dźwięki:
O! nie odtrąćcie rzewnej piosenki,
Za to, że cierpi tak wiele!

1864.

DO MŁODYCH PIEŚNIARZY.

Młodzi pieśniarze! hardzi a butni,
Jakież wy pieśni z Bojanów lutni —
Snujecie nam?
Wy wszystkim nerwom — co w piersiach drgają,
Wszystkim uczuciom co w sercach grają,
Rzucacie kłam!

Na toż na czoło wasze natchnione,
Bóg łaski zdroje zlał niezliczone,
Aby z nas drwić?
I jako Parki — nam na sromotę,
Nim pasma życia splotą się złote,
Przecinać nić?

Miast w serca nasze wlewać nadzieję,
Całemi pierśmi wołać że dnieje!
Zwiastować świt —
Wy nam nucicie dzikie rozpacze,
Niemęskie żale, niewieście płacze,
I piekieł zgrzyt! —

Tradycji — których lat tyle strzegło,
Daleko oko wasze odbiegło,
Gdzież szukać dróg?
Więc rozbrat z wami, rozbrat zaprzańce!
Bowiem nie Pańscy wy pomazańce!
Nie z wami Bóg!

DO OLESIA.

O! ja rozumiem twoją tęsknotę,
Ten żal za stroną, za inną,
Bo i ja z cierni swój żywot plotę,
I ja mam chatkę rodzinną.

Ty tęsknisz drogi za twymi braćmi,
Za grobem ojca, macierzy —
Nieraz twe oko łza krwawa zaćmi,
Choć świat łzom dawno nie wierzy —

I ja mam matkę, co na mnie czeka
I liczy chwile powrotu;
Lecz droga temu nazad daleka,
Kto raz wzniósł skrzydła do lotu.

Olesiu — bracie! ja cię rozumiem,
I ja twą boleść tłómaczę —
Lecz ja przed bolem pierś zamknąć umiem,
Hartować życie biedacze.

Naprzód nam droga — więc po cóż trwożnie
Liczyć się z lada cierpieniem,
Jak mnich pacierze szeptać pobożnie
I żyć przeszłości wspomnieniem?

Prawo odwieczne rządzi na świecie:
Kto najmocniejszy — ten królem!
Albo nas boleść do ziemi wgniecie,
Lub my zawładniem nad bólem!

A kto serdeczną żałość przemoże,
Serce uciszy śród łona —
Ten więzy starga, złamie obroże,
Stugłową hydrę pokona!

Naprzód więc, naprzód, gdzie światło tleje,
Ku pełnym szczęścia kielichom!
Żyjmy przyszłością — a stare dzieje
Niańkom zostawmy lub mnichom!

Lwów, 8 Grudnia 1871 r.

NA ZGON LUDWIKA NARBUTTA.

† 21 KWIETNIA 1863 ROKU.

Szły głuche wieści — że naród się budzi,
Że kruszy pęta co w kości mu wrosły!
Że się po lasach mnogo zbiera ludzi,
A krzyki pomsty — aż w niebo się wzniosły!

Na głos tych wieści, wnet staje pod bronią
Mąż, co kochanką gardził i pucharem
I chwycił sztandar z litewską Pogonią
I na pół drogi klęknął pod sztandarem!

I tak klęczący utonął w modlitwie,
Tak się gorąco modlił za swym ludem:
Że gdy wieść o nim powiała na Litwie,
Bóg modłom jego dał świadectwo cudem!

Bo na to hasło jak z gniazda orlęta,
Młódź się od pługa porwała i radła —!
I jako macierz wzywała ją święta,
Po krańcach Litwy na straży usiadła!

I tylko echa powtarzały puszczy,
Zwycięskie pieśni młodego żołnierza!
I dzikie krzyki rozgromionej tłuszczy,
I ciche szepty za zmarłych pacierza!

Lecz snać inaczej Pan w Wszechmocy swojej,
Osądził naszą niedolę i trudy —
Bo jak nam stałeś — w pełnej ległeś zbroi,
Rycerzu wielki — na czasy i ludy!

Osieroceni — po dwójnej żałobie,
Kiedyż po stracie twojej żal ukoim?
Orle! rycerzu! gdyś spoczął już w grobie,
Pamięć twym czynom — i cześć prochom twoim!

KOCHAJ.

WIERSZ DLA PANNY ANNY * * *

Kochaj dziewczyno! o, kochaj szczerze,
Prababek twoich święte pacierze!
Czcij pamięć ojców — bo ojce twoi
Biali orłowie w skrzydlatej zbroi:
To męczennicy przeświętej sprawy,
Lub bohatery z szańców Warszawy!

A potem kmiece ukochaj chaty,
Boś córą ludu, dziewczę liljowe!
Bo przed ich niską strzechą przed laty,
Król-ojciec chłopków pochylał głowę!

Ukochaj lud ten dziarski — poczciwy,
O złotem sercu w siermiędze siwej —
Co na głos wodza pod Racławice,
Kosy pochwycił w dzielne prawice!

Kochaj wrzeciono — bo przy wrzecionie,
Siedziała nieraz pani w koronie,
I srebrne pasma snuła bez sromu,
Na przyozdobek Bożego domu!

A nadewszystko miłością czystą,
Kochaj — o kochaj ziemię ojczystą!
I kiedy padnie godzina czarna,
Dla niej — jak gołąb stań się ofiarna!

A gdy na wielkich łask swych zadatki,
Bóg da ci nosić nazwisko matki —
Wtedy miast cacek niech twój maleńki,
Ojcowską szablę weźmie do ręki.
Rycerską zbroję włóż mu pod głowę,
Do snu mu pieśni śpiewaj bojowe!
Niech już w kołysce marzy zuchwale
O dawnej sławie — o przyszłej chwale!

NIEZAPOMINAJKI.

TŁOMACZENIE MELODJI NARODOWYCH.

Zrazu płynęły tęskne, poważne akordy —
Potem wzmogły się gromem i jak burza rosły.
Słychać jęki, wystrzały — zgrzyt szabel i mordy,
Świst granatów — to krwawej śmierci idą posły;
Potem trąbką sygnały oddały wedety;
I rozległ się głos wodzów: naprzód — na bagnety!

Skończono wreszcie walkę — zdobyto armaty —
I zagrano na wiwat z moskiewskich mozdzierzy —
Potem jeszcze kolejno szły inne wiwaty,
Najsmutniejszy w cześć ległej na polu młodzieży!
Skopano jej dół wielki i żegnano szczerze:
Łzy płyną na pierś ziemi a w niebo pacierze!

W pochód, w pochód młodzieńcy! nie czas nam na żale,
Więc formują się pułki i stają legjony.
Rozwiano chorągiewki, na których wspaniale
Z jednej strony lśni Orzeł — Pogoń z drugiej strony!
Wylecieli jak strzała z ojcowistej wioski:
I tylko wiatr im niesie piosnkę: „marsz Dąbrowski!“

Przybyli, odkiełznali spienione koniki —
I stanęli do tańca — chichoczą z dziewczęty!
Jeszcze tylko wioskowej niestaje muzyki;
Nadszedł skrzypek, grzmią kotły — taniec rozpoczęty!
Suną się zwolna pary, wiją się i biegą
A muzyka tymczasem huczy „Ogińskiego!“

Przy miodku, przy lipcowym, rozsiadły się starce,
I patrzą się na młodzież i muskają wąsy —
A wszakżeć to i oni szli niegdyś na harce,
I nie w takie to pląsy bo z moskalem pląsy!
Więc podnoszą się z miejsca i trącą w szklanice:
„Wiwat wódz nasz Kościuszko! wiwat Racławice!“

A matki dziatwę swoją tulące do łona,
Splatają jej rączęta do kornej modlitwy:
Panie! przed Tobą pada drużyna stęskniona,
Złączonych serc i dłoni — Korony i Litwy!
Oh! usłysz jęki ludu i łzy i błaganie:
„Ojczyznę, wolność naszą, racz nam wrócić Panie!“

DO PTASZĄT.

Ptaszkowie moi — śpiewacy leśni!
Czemu to wieczorną ciszą —
Tak smutna nuta drży w waszej pieśni
Aż drzew się listki kołyszą?

Czyli zgasłego żal wam promienia
Ognistej na niebie kuli?
Czyście wy wszystkie nasze cierpienia
Maleńkiem sercem odczuli?

I gdy my biedni łzami krwawemi,
Modlim się Bogu o świcie: —
Wy do wilgotnej przypadłszy ziemi,
Nocą się za nas modlicie?

Lub się litując naszej rozpaczy,
Błagacie Pana za nami,
Gdy nie ma względu dla nas tułaczy
Może zna litość nad wami?

Módlcie się, módlcie ptaszkowie leśni!
Gdy trwoga padnie na ducha!
A może waszych modłów i pieśni,
Chętniej Pan niebios wysłucha!

SZTANDAR.

Za nasz proporzec! druhowie młodzi,
Niech młody zapał nam służy!
Niech on nam w walce z życiem przewodzi
Rozpierzchłych skupia, zwaśnionych godzi,
Kotwicą stanie się w burzy!

Niechaj on dla nas jak jutrznia świeci,
Gołębiem będzie pożaru —
Pod jego godło niechaj się zleci
Ta rozproszona drużyna dzieci,
Co dotąd nie ma sztandaru!

Niech on nad skronią naszą powieje
Jak orzeł skrzydły srebrnemi!
W sercach wątpiących zbudzi nadzieję,
Iskry wykrzesze z lodu i wleje
W pierś błędnej dziatwy tej ziemi!

Niechaj on garnie co zacne, prawe,
Niech prawdy strzeże i broni —
Z nim poczynajmy codzienną sprawę
Miejmy w nim tarczę, miejmy w nim nawę
Co nas z rozbicia uchroni.

Nieśmy go górą! — Niech on nam wieści,
O dawnym duchu ofiary —
Nieśmy go wiernie w łzach i boleści,
Lecz go ratujmy z krwi i bezcześci
Jako Rzymianim swe lary!

W nim czerpmy siłę, on nas podeprze,
On cel da wszelkim zamiarom —
Z nim pójdziem w czasy jaśniejsze, lepsze —
A głos tysiąców eter rozeprze,
Cześć bijąc takim sztandarom.

ŚWIĘTE WZORY.

Pokój tobie ludu Boży!
W cichej pracy czerp wytrwanie!
Ziarnko drobne w kłos się mnoży,
Ziarnek z kłosa na chleb stanie!

Z niebios ludu patrzaj cudu!
Z niebios tobie prawda dana!
Nie upadaj — lecz wśród trudu,
Mocy szukaj — tam u Pana!

Bracie — siewco! co na roli
Za niebieskim patrzysz wzorem:
Gdy skroń potnie, a pierś boli,
Czerp wytrwanie z Izydorem!

Ty, co dnie tak pędzisz pilnie
Nad wrzecionem — pracowita —
Jak się trudzić masz usilnie,
Święta tobie wskaże Zita*).

Wam, co boleść barki gniecie
A nieufność w pierś się wciela:
Jak winniście stać na świecie,
Bierzcie przykład z Zbawiciela!

*) Święta Zita była prządką i sługą.

I czy war się burzy sroży,
Czy w niemocy serce kona:
Nie upadaj ludu Boży!
Tam przed Panem masz patrona!

On w nieszczęściu ci złowrogiem
Dłonie poda, pójdzie przodem!
Bo gdzie naród trzyma z Bogiem
Tam i Bóg jest z swym narodem!

Z niebios ludu patrzaj cudu!
Z niebios tobie prawda dana!
Nie upadaj — lecz wśród trudu,
Mocy szukaj — tam u Pana!

Warszawa, 1868 r.

DZWON,

Po rosie, po rannej dźwięk płynie srebrzysty,
I w serca jak w struny uderza!
A dźwięk to modlitwy serdecznej, ojczystej,
Jak chorał serafów pacierza!

O! zbudźcie się ze snu wy wszyscy uśpieni!
Za chwilę świt mroki rozwieje!
Wam w trudach upadli, wam drogą znużeni,
Ten dzwonek niech wieści nadzieję!

A chociaż mu serce roztrzaska się może,
Choć pieśni nie dogra do końca:
Niech chwilę kołacze jak dzwony te Boże,
Co blaski zwiastują wam słońca!

NA POCIECHĘ.

Nie płacz dzieweczko! choć śnieżek pruszy,
Choć kwiatki zmroził na błoni!
Od śnieżku tego aż bielej w duszy,
A gdy wiosenny wiatr go osuszy,
Skowronek piosnkę zadzwoni:
Nie płacz! bo znów się łąka upuszy,
I znów się kwiatek wyłoni! —

Kwiatek z pod śnieżnej błyśnie zamieci,
Na wonny wianek dziewczynie!
Słonko promykiem jasnym zaświeci,
Na koniu dzielny wojak podleci
I chorągiewkę rozwinie!
Błyśnie szabelką — hura! hop! dzieci!
Na pomoc ojców krainie!

Kwiatek wystrzeli — w wiosenny ranek
Słonko się skąpie w wód toni;
Dzielnego jeźdźca wierny bułanek
Zaniesie hyżo przed biały ganek!
Twarz ci szkarłatem się spłoni:
I wnet z twych splotów różany wianek,
Zwycięscy przejdzie do dłoni!

A wtedy, wtedy pusta dziewczyno!
Niech śniegi w góry wyrosną!
Już z twoich oczek łzy nie popłyną,
Z żalu za kwiatkiem, wiśnią, maliną,
Pieśnią słowika miłosną —
A choć się znowu róże rozwiną,
Już nie zatęsknisz za wiosną!

Lwów, 1868 r.

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Znasz-li ten kraj, o młody synu mój?
Gdzie o pół wieku już, krwawy się toczy bój?
Gdzie dzielna, święta młódź podnosi mężną dłoń,
I w coraz krwawszy cierń, męczeńską wieńczy skroń?

Znasz-li ten kraj — gdzie rzeki płyną krwią?
Gdzie zaraźliwy jad północne wichry tchną?
Gdzie każdą ziemi piędź, strażują łzy i krew,
Gdzie w jeden wielki jęk modlitwy płynie śpiew?

Znasz-li ten kraj — co myśli wciela w czyn?
Gdzie w męża wzrósł niewieści każdy syn?
Znasz-li ten kraj — co mimo strasznych dni,
W pętach niewoli swej o bliskim świcie śni?

WSPOMNIENIE.

Pomnisz, o luba! te słodkie rozmowy
W altance z bluszczu, pod kasztanów cieniem?
Pomnisz ten wieczór cichy i różowy,
Co igrał z słonka ostatnim promieniem?
Pomnisz tę z nieba gwiazdkę spadającą
I na jej widok twój przestrach dziecinny;
Pierwszą modlitwę „za zmarłych“ gorącą,
Co się z twej duszy uniosła niewinnej?
Pomnisz łzę pierwszą, co z ócz się polała,
Pierwszej miłości nieznane roskosze?
Pomnisz tę różę, coś wtedy zerwała?
Patrz! dotąd jeszcze na sercu ją noszę!
Pomnisz tę chwilę rajskiego zachwytu,
Gdyś w me ramiona, zdjęta uczuć dreszczem,
Upadła wtedy, a gwiazdki z błękitu
Złotym zię na nas posypały deszczem? —

O słodkie chwile! wieku niepowrotny!
Coście jak drużki powiodły mię w życie!
Dziś od ołtarza odchodzę samotny;
Ja was pamiętam, wy — czy mię pomnicie?
Czy mnie pamięta ten kasztan cienisty,
On mój powiernik, i gaj i dąbrowa?
Dziś w miejsce róży mam wieniec ciernisty,
Który przeplata rószczka cyprysowa —

Dziś; prożno czekam moich dawnych gości —
Nie wrócą! — Echo huczy mi złowieszcze!
O, dni mych ułud, o pierwsza miłości,
O! luba moja! — pomnicież mię jeszcze?

Z WYGNAŃCZYCH PIEŚNI.

Ecce dolor.

Jęcząc w niewoli przez długie lata,
Martwi dla siebie, zmarli dla świata —
Napiętnowani hańby sromotą,
Powolni katom co nas tak gniotą,
Bez tchu i czucia, odarci z cześci,
Powstańmy dzisiaj mocni w boleści!
Otrząśmy z siebie całun grobowy!
Na hańbę ludom — tam do Jehowy
W naszem wdowieństwie wznieśmy krzyk głośny!
A może przecie Bóg przelitośny
Naszej się wielkiej skargi użali,
I sługi grzechu w prochy obali!
Moc jego tylu wiekami czczona,
Wiodła na wrogów dłonią Samsona!
Od jego słowa drży ziemska pycha;
Rozpadły w gruzy mury Jerycha —
On i o lichym płazie pamięta:
A ludom daje wolność — i pęta!

* * *

Zmiłuj się! zmiłuj Panie nad Pany!
Na ołtarz Tobie nasze kajdany!
Gdy innych ofiar dziś nam nie stanie,
Składamy Panie!

A na tłómaczów krzywd naszych — Tobie
Oddajem wszystkich co legli w grobie!
Niestało żywych — przyjm ludu kości,
Boże litości!

A zamiast ognia, wina i wody:
Pożary które niszczą zagrody!
I w pełnej czarze krwi i łez zdroje,
Przed stopy Twoje!

* * *

Jako to płótno co dziewczę bieli,
My od łez naszych bledzi stanęli!
A jako trupy co bez pogrześci
Na ziemi swojej gniją w bezcześci
Tako my Panie!

Po za obłokiem
Z jasnych gwiazd tkanym, spojrz ojca okiem
Na dziatwę Twoją — i spraw jej Panie,
Wskrzeszenie albo skonanie!

Czyż pieśni takie miłe Ci Boże!
Co w piersiach ludu tkwią jako noże?
I bliznę świeżą z każdem westchnieniem
Jątrzą zranieniem?

Azaliż ucho Twoje się pieści,
Łkaniami dzieci? jękiem boleści
Matek, i głuchą ojców rozpaczą,
Co sercem płaczą?

Więc wszystkie Tobie krzywdy i blizny!
Wszystkie shańbienia naszej ojczyzny!
Wszystkie wygnańców skargi i jęki!
I płacze sierot, i przekleństw dźwięki
Co z więzień płyną — składamy Panie
W ofiarowanie!

1868.

ECCE DOLOR.*)

Jako liście co wiatr miecie,
Tak rozwiani my po świecie!
W domu własnym myśmy gośćmi!
A gdzie stąpim, to za nami
Drogę naszą krwią i łzami,
Lub własnymi znaczym kośćmi!

Gdy Pan na nas był łaskawy
To się snuły nasze sprawy,
Jak wód polskich jasne wstęgi!
A w dniach zgrozy na skaranie,
Rozkazałeś nam o Panie,
Dzieje w czarne zamknąć księgi!

Więc je znaczym miecza błyskiem,
Krwią męczeńską i uciskiem,
I sromotą i wygnaniem.
Własną znaczym je niedolą!
I grabieżą i swywolą
Wrogów naszych — i skonaniem!

Lecz przed Twoją mocą Bożą,
Czoła nasze w proch się korzą!
W niebo płynie jęk i łkanie!
A pieśń ludu błagająca
Aż o tronu stopnie trąca:
Miłosierdzia Panie! Panie!

*) Wiersz ten tłomaczył na język niemiecki Dr. L. Kurtzman.

ZA ORŁEM.

Co smętnym tak wzrokiem spoglądasz do góry,
I czemu łza błyszczy w twem oku?
Azali zazdrościsz że srebrno ten pióry
Król ptaków — tak śmiało szybuje pod chmury,
Czyż śmiałbyś go ścigać w obłoku?
Nie zrównasz orłowi — choć orlim tyś dzieckiem,
Nie zrównasz orłowi w polocie!
Twe skrzydła podcięto w ujęciu zdradzieckiem,
I w brudzie skąpano i w błocie —

Coś spojrzał tak dumnie? Hej, orli mój synu!
Daremno się silisz, daremno!
Odarto skroń twoją — odarto z wawrzynu,
Twe dłonie osłabły, niezdolne do czynu,
I w przepaść strąconyś już ciemną!
Nie słucha — wzrok jego jaśnieje jak zorza!
Podleciał ku orłu, ku górze!
Radości! o Panie! już wzbił się w przestworza,
I zawisł jak gwiazda w lazurze!

Lwów, 1868 r.

DO SOKOŁÓW.

Świta już — bracia sokoły!
W przestrzeń szybujcie bez końca!
Stopami ziemi — a czoły
Dotykać nieba i słońca!

Wzrośli wśród tylu zawodów,
Żaliż zadrżemy w złej chwili?
My — cośmy sercem narodów
I piersią obronną byli?

Dziś oglądamy się smutnie,
Bez sił padamy — samotni —
I patrzym na świat pokutnie,
Jakby grzesznicy sromotni!

O! krew do głowy uderza,
Kiedyż z tej wstaniem nicości?
Orzeł do słońca domierza,
A wszak my syny światłości! —

Drżę cały — rychło grom zleci,
I niebo padnie słoneczne!
Polsko! — gdzież szukać twych dzieci,
Kędyż twe syny waleczne?

PROLOG
WYGŁOSZONY PRZY OTWARCIU SCENY NARODOWEJ
W POZNANIU,
DNIA 13 STYCZNIA 1870.

(Teatr wyobraża świątynię grecką. Na środku ołtarz, w głębi posągi J. N. Kamińskiego i W. Bogusławskiego.)

KAPŁANKA.

I oto nowa świątynia przymierza,
I oto nowy stanął ołtarz wam!
Serce radością tajoną uderza,
Czoło się chyli u progów jej bram!
Cześć tym, co kamień złożyli węgielny!
Cześć tym, co pierwsi wchodzą za ten próg!
Dzień ten niech będzie rozgłośny, weselny,
Niech zacnym trudom błogosławi Bóg!
Niech ta świątynia nie szału przybytkiem,
Lecz gwiazdą będzie, co ma błędnych wieść —
Niechaj kapłani jej służą z pożytkiem,
Ojczystej mowy niechaj krzewią cześć!
Niech ona będzie jak cichy zakątek,
Z którego płynie szmer proroczych słów —
Skarbnicą świętą rodzinnych pamiątek,
Na światło dzienne wydobytych znów!
I niechaj nikt się tutaj wejść nie waży,
Kto na dnie serca kryje ziemski brud:
Z śmiechem kłamanym na skrzywionej twarzy! —
Tu poświęcenie ma ołtarz i trud!

(Wskazując ku pomnikom.)

Wy, których blaskiem jaśnieją imiona,
A czoła lauru przystraja wam kwiat!
Roztoczcie ku nam ojcowskie ramiona
I w ideałów prowadźcie nas świat!
Wiedźcie nas, wiedźcie w te kraje zaklęte —
Wiara tli w sercach', a więc starczy sił!
Uczcie nas kochać co zacne, co święte,
I przed czem naród w prochy czołem bił.
Wasze imiona — to dla nas przykłady,
Tylko dróg waszych straciliśmy nić.
Wskażcie nam, mężę, jak iść w wasze ślady,
Jak nam pracować, jak cierpieć i żyć.

(Postępując na proscenium.)

Ziomkowie! oto przed wami dziś staję,
I w tej świątyni bratnio witam was!
Opiece waszej rodaczej oddaję,
I te ołtarze i sztukę i nas!
Gorącem serca ożywcie je tchnieniem,
Budźcie dla sztuki szacunek i cześć:
Tylko narodu podparci ramieniem.
Pochodnię światła będziem z wiarę nieść!

W ROCZNICĘ
OTWARCIA SCENY NARODOWEJ W POZNANIU.

Oto rok ubiegł — i znów przed Wami,
    Stajemy z chętną posługą;
Choć nieraz znojem, trudem i łzami,
    Drogę znaczyliśmy długą.
Lecz nas nie zgięło nigdy zwątpienie,
    Ani padaliśmy w męce —
Ufni, że troskę o polskiej scenie,
    W wasze złożyliśmy ręce.

Oto rok ubiegł. — Jak w skwarne lata,
    Gdy słońce kłosy poważy,
Marna przypadnie żeńcom zapłata,
    I łza zawiśnie na twarzy —
Lecz żaden czoła nie chyli w trwodze
    Jeno nadzieją się krzepi:
Tak szliśmy ciągle po twardej drodze,
    Mówiąc, że będzie nam lepiej!

I znów w tym gmachu złotych nadziei,
    Gdzieśmy stawiali ołtarze,
Wierni podjętej przez was idei,
    Przy dawnym stoim sztandarze.
Pod jego godłem, rzesza strudzona,
    Bez ognisk własnych, bez domu,
Staliśmy niby czata stracona,
    U polskiej mowy wyłomu.

W dziejów narodu spojrzawszy wnętrze,
Z ich blasku czerpiąc natchnienie,
Wszystko co braciom było najświętsze,
Na tej stawialiśmy scenie.
Tu duch Zygmunta, tu cień Barbary,
Tu szereg wojów i ziemian:
Dzielny Czarniecki i Miecznik stary,
Krzepili ducha naprzemian.

Stojąc na straży świętych pamiątek,
Myśli szerokiej i wolnej,
Z głębi serc polskich snuliśmy wątek
Do naszej pracy mozolnej.
Nam się nie godzi chlubić z swych czynów,
Niechaj je przyszłość oceni.
Lecz wy pytajcie i cór i synów,
Czy stąd odeszli zgorszeni?

Czyśmy ich młode skazili serce,
Jadem zepsucia lub zdrady,
Czy też krzepili ducha w iskierce,
Przez szczytne przodków przykłady?
O duchu Polski! grzej nas swem tchnieniem,
Prowadź przez szereg lat długi!
— Pod tym nadziei jasnym promieniem,
Dzisiaj wstępujem w rok drugi.

Poznań, 10. Stycznia, 1871.

WIĄZKA DRZEWA.

Wicher smutne gra piosenki —
Śnieżne płaty lecą z nieba,
W chatce tylko łzy i jęki:
Ani drzewa ani chleba!

Biedna matka drży i płacze —
Jak grób ciążą jej powieki!
Ojciec skończył dni tułacze,
I pod śniegiem śpi na wieki!

Chatką mroźny wiatr pomiata,
Szczelinami śnieg szeleści!
O! jak ziemia ta bogata,
I w niedolę i w boleści!

— Mamo zimno! płaczą dzieci.
Patrz, my wszystkie pokostniały —
Lecz skąd dostać wśród zamieci,
Choćby drzewa wiązki małej?

Matka rzuca bólów łoże,
I pobiegła w bór głęboki.
O! miej litość dobry Boże!
Nieszczęśliwej wspieraj kroki.

Staje — łza na licu świeci —
I palcami skrwawionemi —
Drewek parę dla swych dzieci,
Od zmarzłej odrywa ziemi!

Uśmiechnęła się z radości —
— Toż na ogień dzieciom stanie!
Jakżeś pełen jest litości,
Jakżeś dobry dla nas Panie! —

Zarzuciła wiązkę drzewa
I powraca już do chatki.
Kruk grobową pieśń rozwiewa,
Jakby szydził z szczęścia matki!

Bieży — słabnie — w oczach ciemno
Mroczniej w duszy noc zapada!
— Panie! litość miej nademną,
Nad mą dziatwą — jęczy — blada!

Jęki zmilkły — a na śnieży
Wiatr gra tylko pieśni swoje;
Patrzę: matka martwa leży!
. . . .
W pustej chatce dziatek troje!

Kraków, 25 Lutego, 1869 r.

WIĘZIEŃ.

Cela w półczarna, głucha, — a w celi,
Jeno pajęcza siatka się bieli,
I szmat błękitu przez kraty! —
Nietknięte stoi więzienne łoże,
Bo serce więźnia ostrz bolów porze,
I duszę kraje na szmaty.

Patrzy: a tęskna myśl jego goni,
Siostry — turkawki, kwiaty na błoni,
Ojcom do kolan przypada;
I ucho więźnia w tej groźnej ciszy,
Jakieś nam głosy nieznane słyszy,
Bo twarz spłonęła mu blada.

Lecz znowu smutek z lic krasę zetrze! —
On kiedyś wolny jak ptak — powietrze,
Przeszywał skrzydły orlemi.
Dzisiaj mu serce rozdarto w łonie,
A piorunowej potęgi dłonie,
Żelazem skuto do ziemi!

I oto ptasząt swywolna rzesza,
Jakby do druha swego pospiesza.
Rajskim go pojąc szczebiotem —
Czyżby przeczuła że z owej matni,
Do nich się zrywa duch bliźni, bratni,
Tęskny — jak orle — za lotem?

Jak pszczółki z kwiatka lecąc do kwiatka,
Zwija się ptasząt gwarna gromadka,
I wabi więźnia do ziebie —
— Ufności bracie! gdy z oków ciała,
Dłoń — duszę twoją — wyrwie wspaniała,
Wolny! — pobujasz po niebie!

WIELKOPOLANOM NA POŻEGNANIE.*)

Bywaj mi zdrowa ziemio Piastowa,
Kruszwicka żegnaj mi wieży!
Bywaj mi zdrowe, gniazdo wiekowe
Orłów i orlich szermierzy!

Jeszcze mi dzwoni plusk Gopła toni,
Lecz smętniej jakoś, boleśniej —
I jeszcze słyszę, w wieczorną ciszę,
Jęk Miłosławia i Wrześni.

Nad skronie moje, pszczół złotych roje,
Rwie z piastowego się ula;
Zdala przyświeca — Opalenica **)
Kolebka mędrca i króla.

Żegnaj mi dębie, coś swe gołębie
Na dół pochylił już skronie.
O słyszę jeszcze, te „Rytmy“ wieszcze,
Zaklęte w twojej koronie! ***)

Ołtarzu stary, cichej ofiary,
Ziemico poświęceń i cnoty!
Ty na wy łomie, ojczyzny promie!
Żegnaj mi skarbcu szczodroty.

---

*) Wiersz pisany w chwili wydalenia autora przez władze pruskie z Wielkopolski.

**) Gniazdo rodzinne Leszczyńskich.

***) Mowa tu o dębie Kaspra Miaskowskigo poety z XVI wieku, rodem ze Smgorzewa w W. Ks. Poznańskiem.

W którą bądź stronę wichry szalone
Porwą mię, gdzie bądź wyruszę:
Ku wam źrenice zwrócę stęsknione,
Bo tu zostawiam mą duszę!

Poznań, 16 Listopada, 1871 r.

POLSKIEMU DZIECKU.

Jakżeś ubogi — synu mój drogi!
Ojcowie tobie pomarli!
Brata na Sybir uwiozły wrogi,
I matkę tobie wydarli!

A siostry twoje — jak ścięte kwiatki
Z których woń życia ulata —
Któż cię powita na progu chatki,
Kto cię uściśnie jak brata?

Niebo się łuną oblało złotą,
W płomieniach dworek ojcowy!
I nawet nie masz, biedny sieroto,
Młodziuchnej schronić gdzie głowy.

I jedno tylko co ci pociechą
Na dni zostało wiośniane:
Święta modlitwa — pod obcą strzechą,
I dwie mogiły siostrzane!

* * *

Jakżeś ubogi synu mój drogi!
Na polach twoich krew świta!
A w okół jęki, łzy i pożogi —
I wrogie tętna kopyta!

Z rannych twych latek synu mój złoty,
Już przyszło witać ci nędzę!
I z pośród hańby — z pośród sromoty,
Jasną dni swoich snuć przędzę!

Lecz nie upadaj — choć los nie płuży!
Z trudem się w młode łam lata!
A hartowany wśród szaleństw burzy,
Ty dębem wzrośniesz dla świata!

Bądź błogosławion pierśmi całemi!
I wzrastaj w męstwie i sile!
I módl się często na świętej ziemi,
Na dwóch męczennic mogile!

* * *

Jakżeś ubogi synu mój drogi!
Przebóg — w twych oczach żar płonie
I pierś się wznosi — gniew prze ją srogi,
I zemsta kipi w twem łonie!

Synu mój, synu! więc miecz do dłoni!
Zaż długo rdzawieć nam będzie?
Z świętym sztandarem Orła — Pogoni,
I męstwem świat się zdobędzie!

O! leć mój orle! leć na swobodę!
Gdyś skrzydła rozwiał do biegu!
Tam wasze miejsce sokoły młode!
Hańba kto odstał z szeregu!

Bądź błogosławion dzielny mój synu!
Bólem dojrzały — nie laty!
Jakże tym męstwem, co rwie do czynu,
Jakżeś mój synu bogaty!

Kraków, 18 Lutego, 1869 r.

NOC LETNIA.
(FRAGMENT.)

O, nocy letnia! — Srebrnej rosy zdroje
Padają cicho na ziemię spragnioną,
Na twe skinienie tulą się powoje,
Róża zamyka pierś roznamiętnioną,
I młode dziewczę o twarzyczce bladej,
O swym kochanku marzące w drzew cieniu,
Z ufnością dziecka, które nie zna zdrady,
Główkę swą składa na twojem ramieniu.

Nocy! o jakże twej ciszy spragnieni
Ci, których nędzy bliźni nie podeprze —
Pod twoje słodkie skrzydła przytuleni,
Na twardem dzisiaj — marzą jutro lepsze
O! w tobie oni niech znajdą obrońcę!
Ty sen im błogi zeszlij na powieki,
Każ, by ich jutro nie budziło słońce,
Jutro niepewne — niechaj spią na wieki!

O, nocy letnia! gwiazd złotych królowo,
Co ciszę siejesz w gwar miasta i wioski,
Której zaklęcia czarodziejskie słowo
Ból ubezwładnia i usypia troski,
Co płaszcz swój szary rozwiewasz szeroko,
Aby niem nakryć męki i katusze,
Co dla spraw ziemskich zamykasz nam oko,
A na niebieskie otwierasz nam duszę —

O, nocy letniej ciszy utajona!
W niemej modlitwie twoich łąk i gajów,
W ciszy twych jezior, w westchnieniu ruczajów
I sama w sobie — bądź błogosławiona!

Kiedy się wsłucham w twą czarowną ciszę
I uchem mojem nocne szmery łowię,
Badam twój oddech i wyraźnie słyszę,
Jak się w twem cieniu modlą aniołowie.
Wieczorna zorza, jak lampa zamglona,
Niepewnym blaskiem miga na lazurze,
I słyszę jęki z głębin ziemi łona,
Na skrzydłach twoich płynące ku górze.

Leśne ptaszęta, kwiaty i płaz lichy,
Wzorzyste łąki i zamierzchłe knieje,
W twojem objęciu znajdują sen cichy
I pokrzepienie i jutra nadzieję.
Wszystkich utulasz w matczyne ramiona,
Chłodną im ręką ścierasz krople znoju,
Dla wszystkich jesteś równie upragnioną,
Tylko dla zbrodni nie znasz ty pokoju.

O nocy! dla niej straszne są twe cienie!
Jak blade widmo stajesz przed oczyma,
Na czole twojem iskrzą się płomienie
Jak u bram piekła: „tu nadziei nie ma!"
I próżno zbrodzień w twoją głębię czarną
Ucieka, ciszy łaknąc w twoim cieniu;
Bo choć mu spuścisz snu makowe ziarno,
Choć sen dasz oczom — nie dasz go sumieniu!
W twym chłodzie jego nie ostyga czoło,
W twej ciszy burza gra w sercu Kaina —
I gdy cię wszystko błogosławi w koło,
On jeden tylko twą ciszę przeklina!

OJCZYZNA.

Ojczyzną moją o, bracia mili!
To piosnka, którą skowronek kwili!
To nad rzeczułką brzoza płacząca,
Uśmiech boleści i łza gorąca!

Ojczyzną moją — to ojców dzieje!
To prawda, która w nich promienieje!
To cuda, jakie Bóg przez nie świeci,
Gdy w dzielnych mężów zolbrzymia dzieci!

Ojczyzną moją — te rozsypane
Jakby gołąbki, strzechy słomiane!
Pastuszej dziatwy figle, zabawki,
I wdzięczne tony wiejskiej ligawki!

Ojczyzną moją — ów pochylony
Ponad rozdrożem krzyżyk omszony —
Z temi szmatkami koszulki białej,
Od łez matczynych rozpromieniałej!

Ojczyzną moją — to bratnie groby
Pełne wdowiego smętku, żałoby —
I te tak hojnie na plony cudu,
Rozsiane kości mojego ludu!

Ojczyzny mojej, wielkiej, wspaniałej,
Zarówno szukam na polu chwały,
Jak i na szlaku mogił smętarnych:
Od Saint-Domingo — do gwiazd polarnych!

Lecz nie upadam nigdy w zwątpienie!
Jak Chrześcianin wierzę w zbawienie!
Wierzę, że naród, nim zmartwychwstanie
Pierw wszystkich piekieł przejdzie otchłanie,
Pierw się po stokroć w ogniu przepali,
Aby podobien był z hartu — stali!

I póki jeszcze nam błękit nieba,
Póki do działu Bóg dał kęs chleba,
A na pociechę łzę i pacierze.
Któż mi ojczyznę moją zabierze?
Kto się ośmieli wydrzeć mi z łona
Mych bohaterów wielkie imiona?
Kto ma wzrok taki orli, sokoli,
By w głąb mi zajrzeć co w piersiach boli?
I co tam serce żywi miłośnie;
I jakie ziarno na plon tam rośnie?

Więc nie zginęłaś ojczyzno moja!
Ty nam wygnańcom świecisz jak zbroja
A gdy blask nowej rozstrzeli zorzy,
Bóg nam tę zbroję na pierś położy!

W ALBUMIE M. HERTZOWI.

Miałem sen dziwny — o! wybacz sny moje,
Bo cóżem winien że miewam widzenia?
W tym śnie widziałem oblicze z kamienia,
Serce kamienne i duszę kamienną,
I precz odegnać chciałem marę senną,
Bo owo serce z głazu — było twoje!

Widziałem potem jak zszedł anioł pychy,
I tworzyć pieśni dla zysku ci kazał —
I zamykały się lilji kielichy,
Jakby z obawy, by tej sprosnej chwały
Śpiew, białej szaty ich kwiecia nie zmazał —
A ptaki w gaju z boleści — konały.

Lilije więdły, konały słowiki,
A ty śpiewałeś sławę Teutonów!
W około brzmiały na cześć twą okrzyki:
„To król harmonji,.to miljoner tonów!"
A ty z monarszo-bankierską szczodrotą,
Głodnym roniłeś piosenki jak złoto.

Nagle w mych oczach zrobiło się ciemno.
Serce się dziwną ścisnęło żałobą,
Widziałem przepaść w którą ty leciałeś!

W tem się ocknąłem — patrzę, a przedemną
Stoi mój anioł — lecz nie sam, bo z tobą
A ty mi do snu piosenki śpiewałeś!

A piosnka owa była takiej treści,
Że nie spostrzegłem zbudzony — od razu,
Czyś ty do tego podobny obrazu
Na który we śnie patrzałem w boleści.

A tyś wciąż śpiewał — I nuta słowika,
Co drzew się czepia i wśród kwiatów słania.
Były w tym śpiewie — aż rajska muzyka,
W jeden się splotła akord — zmartwychwstania.

I sam pytałem siebie pełen trwogi,
Czy sen mój dziwny był tylko złudzeniem,
Czy pogrzebanych dawno chwil wspomnieniem,
Czy snem przestrogi?

1871.

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA!

Bo co z Boga się zaczyna,
To ma byt Bożego dzieła.
S. Goszczyński.

Pieśni polska! tyś jak rosa,
Co na spiekłą duszę spada!
Ty ją wiedziesz przez niebiosa,
Jak w noc ciemną gwiazda blada!
Szczęsny, po nad czyją głową
Skrzydło swoje tyś rozpięła!
Gdy mu w piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

W dniach zwątpienia, w dniach katuszy,
Tyś balsamem i pociechą!
Nieprzerwanie gra już w duszy,
Raz schwycone twoje echo! —
Tyś na niebie mleczną wstęgą,
Co nam nowy cel wytknęła!
Tyś nam hartem i potęgą:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Chociaż przemoc się wysila,
By wyplenić wiarę z ludzi:
Często jedna, krótka chwila
Z pod popiołów iskrę budzi!
Choć się wszystko w krąg rozkłada,
Choć niewola górę wzięła —
Nagle z niebios jak grom spada:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Matka dziecku nad kołyską,
Roniąc rzewną łzę w ukryciu,
Pieśń tę w drogę daje śliską,
By mu tarczą była w życiu!
— Z nią lub na niej wróć mój synu!
Na niej przyszłość twa spoczęła!
Niech cię wiedzie w drogę czynu:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Patrz — tam zasiadł przy kominie,
Stary rębacz wśród czeladzi:
Z ust mu wrzące słowo płynie,
O czemś prawi, o czemś radzi.
Opowiada, jak przed laty,
Naród rzucił się do dzieła —
Jak zagrały raz harmaty:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

A jeźlibyś począł badać,
Co go wiodło w bój rozpaczy?
Dziad ci będzie opowiadać,
Co to polska piosnka znaczy!
Jak jej odgłos tłum porusza,
Jak potężne stwarza dzieła,
Pieśń siermięgi i kontusza:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Gdy w Sybiru groźne lody,
Ze łzą w oku, z sercem skrzepłem,
Głucho sunie zastęp młody:
Pieśni polska, tyś mu ciepłem!
Już on w przyszłość patrzy lepiej!
W snach ojczyzna mu błysnęła!
I duch jego w trudach krzepi:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Matka syna, siostra brata,
Gdy w kajdany ich zakuto;
Gdy ich pędzą na kraj świata,
Polskiej pieśni krzepią nutą —
A gdzie echo jej dobieży,
Gdzie ta piosnka powionęła,
W starców idzie duch młodzieży;
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Gdy się żegna ze swojemi
Tułacz, gnany w świat żałobą:
Z garścią świętej, polskiej ziemi,
I pieśń polską bierze z sobą —
Ona, w pośród życia głuszy,
Nieraz z lic mu łzę zwionęła,
I nadzieją grała w duszy:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Często brat, mogiłę bratnią,
Gdzie uronić łzę nie grzechem,
Garść rzucając już ostatnią,
Starej pieśni żegna echem —
Pieśń, co człeka wiodła w życie,
Z nim w kraj śmierci popłynęła,
Gromem pisząc na błękicie:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

WINCENTEMU RAPACKIEMU
ARTYŚCIE DRAMATYCZNEMU.

Był mistrz w starej Helladzie, pod którego razem,
Głaz brany z gór Hymetu przestawał być głazem,
Który wcielał myśl boską w zimny łomu kawał,
Lub ludziom, kształty bogów nieśmiertelnych dawał.
Pallas, bogini Aten, świecącą im górą.
Była jego dziecięciem, myśli jego córą —
Myśl tak była potężną i boską zarazem,
Że Grek jakby przed Bogiem korzył cię przed głazem.

Ty bierzesz myśli ludzkie od pajęczyn letsze,
I czarodziejskiem słowem rzucasz je w powietrze,
Mierzysz się z ich potęgą ramieniem zuchwałem,
Aż myśl postać przybiera i staje się ciałem,
I z głębin ducha twego wcielona wytryska,
Jak cudna Afrodyte z pian morskich łożyska
Piękna boską pięknością, od gromu ognistsza,
Porywa nas — i wiedzie z pokłonem do Mistrza.

Lwów, 31. Maja 1872.

PAJAC.

W czapeczce z dzwonkami, w ubraniu pstrokatem
Na scenę wyskoczył jak raca,
A gawiedź zebrana, ryknęła wiwatem,
Oklaskiem witając pajaca.

On głowę pochylił, uderzył we dzwonki,
I uśmiech przywołał na lice.
Jak wąż się wywijał i łamał swe członki,
Chcąc poklask odwdzięczyć publice.

A za nim — o, patrzcie! maleńkie pacholę
Z uśmiechem na ustach zdradzieckim —
W ubiorze pajaca, z dzwonkami na czole —
Na Boga! co chcecie z tem dzieckiem?

Tłum zawył radością, jak tygrys zgłodniały
Gdy zdala łup pewny spostrzeże —
Z parteru oklaski i brawa zagrzmiały
Tak — dziecko ochoty nabierze —

Galopka w orkiestrze zadźwiękła szalona,
Rozpięto trapezy i sznury,
Pajaco dziecinę pochwycił w ramiona
I trzykroć podrzucił do góry.

A między publiką uciechy nie mało,
Dziś tłum się zabawi sowicie
Cóż z tego, że nieraz na włosku wisiało,
Kalectwo dzieciny lub życie!

Lecz gawiedź się o to nie pyta wesoła,
Co kryje ta czapka z dzwonkami? —
Tłum bilet zapłacił i słusznie też woła,
By śmiech mu rzucano garściami.

A jednak — choć gawiedź o nudy przyprawię,
Z błazeńskich szat dziecię obnaże,
Jak wyrzut sumienia, przed tłumy postawię,
I nagie im dziecko pokażę.

I powiem: szlachetni i zacni panowie,
Rozważcie w swym rzadkim rozumie.
To dziecię się łamie i chodzi na głowie,
Choć jeszcze pacierza nie umie —

To dziecię nie znało matczynej pieszczoty,
Los nagiem je rzucił do świata —
Dziś na niem pstra suknia i białe trykoty,
I pręgi czerwone od bata —

Płakało pacholę — lecz znalazł się człowiek,
Co dziecko przygarnął z litości,
Dał chleba — koszulkę — i otarł łzy z powiek,
A za to — połamał mu kości —

I szaleć rozkazał, i tańczyć na linie,
Nieść zawsze śmiech pusty w usłudze,
Łzę w sercu utaić! — Batogi! — jak spłynie,
Bo tłumu nie bawią łzy cudze!

O, hasaj dziecino! nieszczęsną twą dolę
Publika ci brawem ozłaca —
Ty, matko, jeżeli masz zręczne pacholę,
Niech chleba sprobuje — pajaca!

Lwów, 15. czerwca, 1872.

STRAŻ NAD WARTĄ.

Gdzie Mieczysława gród,
Przed wrogiem twarzą w twarz,
Niech wstanie polski lud,
I dzielną stawi straż.

Teutońskich, głodnych rzesz,
Już słychać wściekły wark!
O! spiesz się ludu, spiesz,
Hydrze tej zetrzeć kark!

Jak morzu — łańcuch skał,
Staw im odporną straż!
A gdzie ich sztandar wiał,
Niech znak powionie nasz!

Polskiego słowa ton,
Przez ich tłumiony stal,
Niech zabrzmi jako dzwon,
I wolny płynie w dal!

Biały, do białych gwiazd,
Skąd wzbił się orzeł nasz,
W obronie orlich gniazd,
O ludu! trzymaj straż.

Lwów, d. 28. Czerwca 1872.

NOC.
(FRAGMENT DRUGI.)

W głuchej ciszy ziemia drzemie,
Milknie ptasząt piosnka rzewna,
Noc, w gwiazdzistym diademie,
Jak zaklęta w baśń królewna,
W ciszy groźnej i surowej,
Na strop spływa lazurowy.

Jach Diana sierp miesiąca,
Zawiesiła sobie górę;
Płaszcz jej szary, zorza drżąca,
Krasi złotem i purpurą,
A wieczorne mgły — gromadą,
Kornie u jej stóp się kładą.

Po mgłach nocnych, po głębinach,
Łódź obłoczna lekko sunie;
Zefir buja po jej linach,
Jak pieśniarza dłoń po strunie —
I jak pieśń, na ust koralach,
Drży — i chwieje się na falach.

Lekko na nią noc się wzniosła,
W blaskach zorzy, w gwiazd potoku,
Nocne tchnienia, niby wiosła,
Poganiają łódź z obłoku —
Łódź, jak sennych lot żórawi,
W mlecznej drodze pierś swą pławi!

W szafirowych toniach brodzi,
Barka nocy jak zaklęta —
Ni tą drogą sokół chodzi,
Ani pławią się orlęta —
Bo z nią, jedną tylko drogą,
Pieśń i pacierz chodzić mogą!

Jakaż cisza —! Ledwie trąca
Łódź, o niebios toń lustrzaną —
Ledwie gwiazdka spadająca,
Splami strop srebrzystą pianą,
Niemy kładąc znak po drodze,
Niby ziemi ku przestrodze.

Bledną gwiazdy na błękicie,
I łódź wolniej mknie po fali —
Aż gdzie słońca — na zenicie
Purpurowy brzask się pali —
Jak w bursztynu — motyl — łonie,
Noc, w potokach światła tonie.

1872.

DUCH.

(FRAGMENT Z LITUANIKI GROTTGERA.)

Walka skończona. — Już po ofiarach!
I cisza w puszczy litewskiej —
Czasami tylko gdzieś na moczarach,
Zabłyśnie płomyk niebieski.

Czasem puszczona kulka — zdaleka,
W ziemię się wryje lub w drzewo;
Koronę dębu pomuśnie zlekka,
I liście spadną ulewą!

Czasami głosy pijanej tłuszczy
Aż tutaj przedrą się echem,
Na które sowa odpowie z puszczy
Jęczeniem dziwnem — i śmiechem —

Jeszcze gdzieniegdzie zgliszcza się żarzą
I Moskwa obdziera łupy!
A tam wysoko kruki się ważą
I dzióby ostrzą na trupy! —

Szaleje Moskwa, hukają sowy,
Ptastwo się waży i kracze —
A tam w ubogiej chatce wioskowej,
Modli się Hanna — i płacze —

Choć noc już późna — nietknięte łoże,
Tak troski piersi jej gniotą —
I tuli dziecię, które już może —
Ach, strach pomyśleć — sierotą!

Jednem ramieniem tuli do łona
Pieszczotkę swoją kochaną —
A drugą ręką, wpół pochylona,
Na komin kładzie polano.

Podmuchem iskrę budzi z popiołów.
Już ogień suty jaśnieje —
Przystawia formę, topi w niej ołów
I kule dla wojska leje! —

Lecz cóż to?... — Burek nagle zawyje,
Zerwał się, na próg przypada,
sierć nasroszył, wyciągnął szyję,
I z głuchym warkiem ujada —

Strwożone dziecię mruży oczęta,
Do matki tuląc się z płaczem —
Struchlała Hanna: „O! Matko święta!
Kto o tej porze i za czem?“

— Nie trwóż się dziecię — a ty, psie wierny,
Wróć do swojego barłogu!
Ukój niewiasto strach swój niezmierny,
Wszak mąż cię czeka na progu!

Dziecię i żono! czyście przeczuli,
Ten powrót swemi sercami?
Oto on z piersią krwawą od kuli,
Przyszedł pożegnać się z wami — —

Łzawym go okiem ścigała Hanna,
Tuląc dziecinę swą małą;
Aż kiedy zorza zeszła poranna,
Zjawisko w mgłę się rozwiało!

OSTATNIA STROFA.

O! jakże smutno, jakże boleśnie,
Mieć w sercu swojem zaklęte pieśnie,
I bardon nosić śpiewaczy —
A iść samotny ciernistą drogą,
Dla serca swego nie mieć nikogo,
Piosnce nie zaleźć słuchaczy!

Straszny to ciężar (mówią ludziska)
Gdy się już z oczu łzą nie przeciska,
Choć w piersiach krwawe tkwią noże.
I jest straszniejsza boleść daleko.
Niż przytłumiona łza pod powieką,
Pieśń, co się wyrwać nie może.

Ale ja inną znam jeszcze karę,
Co niesie z sobą rozpacz, niewiarę,
I dręczy straszniej, boleśniej —
I niegościnną wygania ręką,
Z pod wrót złoconych ślepca z lirenką:
To obojętność dla pieśni!

Świat zobojętniał — śpiewać! — dla kogo?
Pójdź w me objęcia lutnio niebogo,
Siostra niech uściech da bratu!
A gdy skonają pieśni łabędzie,
Może za pieśnią świat tęsknić będzie —
Lecz czy Bóg wróci ją światu?

PRZYPISY.

1. ZAMEK GROJECKI.

Obrazek niniejszy, a raczej legenda wziętą została z ust ludu. Do dziś dnia jeszcze w okolicach Grojca, niewielkiej wioski na trakcie pomiędzy Koninem a Kaliszem, krąży podanie o umęczonym staroście — podanie jakie nawet zapisane jest w aktach kościoła Grojeckiego, i przekazane pamięci potomnych na bryle granitu, która niby pomnik grobowy, wznosi się na tamecznym smętarzu. Kamień pomieniony wyobraża w płaskorzeźbie zbrojnego rycerza w koronie, niewiastę z pękiem kluczy i małą obok niej dziecinę. Nadaremnie pytałem włościan Grojeckich o nazwisko bohatera ich legendy. Zatarło się imię jego w pamięci ludu, rozsypało niemal że tak powiem w gruzy wraz z murami wspaniałego niegdyś zamku — po którym dziś zręby tylko zostały.

2. KACPER KARLIŃSKI.

W obrobieniu poetycznem istnieją w literaturze naszej dwa dramata, w których bohaterem jest Karliński. Pierwszy z nich pióra Al. Fredry, zamyka się w jednej, pełnej życia i dramatyczności scenie p. n. „Obrona Olsztynu“ — drugi, owoc natchnienia Syrokomli nosi tytuł: „Kacper Karliński, dramat historyczny w 3 aktach“. Obu powyżej przytoczonym poetom, jak i mnie za nimi, za treść do dramatu posłużył wypadek zapisany u Niesieckiego w tych słowach: „Karliński herbu Ostoja, w Krakowskiem województwie i indziej. Kaspra synów siedmiu w różnych okazjach mężnie stawając, na placu poległo. Ósmego Zygmunta ojciec sam zabił: gdy albowiem ten Kasper zamku Olsztyńskięgo za Zygmuntem królen przeciwko Maksymilianistom bronił, ci chcąc ustraszyć odważnego junaka, odgrażali, że syna jego zabić mieli i z mamką, niespodzianie tłumem napadłszy na dobra jego, w domu zabrali — jeżeliby zamku nie poddał; nic się tem jednak nie zmieszał Kasper, więcej wierność ku Panu swemu szanując niżeli syna; dla tego na adwersarzów rychtować działa kazał, sam z jednego między kupę przeciwną wystrzeliwszy, na syna własnego trafił: zabił.“

3. DO WINCENTEGO POLA, IMPROWIZACJA.

Improwizacja ta, jest odpowiedzią na następujące przemówienie Pola, do młodzieży służącej w straży ochotniczej ogniowej. — „Po ciężkiej zimie, chciałem odetchnąć tchem pierwszej wiosny: być świadkiem waszych zabaw ochoczych. Raczyliście mnie odszukać w tłumie i wprowadzacie do waszego koła jako gościa. Dziękuję za ten zaszczyt i w prawicy komendanta straży ogniowej ściskam was wszystkich. Piękne to powołanie stać na straży bespieczeństwa publicznego. Winszuję wam tego — że się już od młodości wprzęgacie do usług obywatelskich! Winszuję wam równie i cieszę się tem, że się pod Bożem niebem dobrze bawić umiecie, jak na młodych przystało. Wierzcie mi, nie ma wyższego powołania dla człowieka i Polaka jak gasić zły ogień a żywić ogień święty. Niech więc żyją Ci co złe ognie tępią a święte ognie żywią! Niech żyje straż ochotnicza.“

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.